

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 24.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 27 lutego 1860.
10 marca
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Wiadomość o monstrancyi w kościele farnym w mieście Brzezinach (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kronika sztuk pięknych. — Brat Piotr, kwe-
starz zakonu oo. bernardynów w Warszawie (z drzeworytem). — Karniowice
(z drzeworytem). — Mikołaj Potocki, starosta kaniowski (z jednym cynkotypem
i jednym drzeworytem). — Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, prze-
mysłu i wynalazków. — Historia jedynaczki w 22 obrazkach (z pięcioma drzewo-
rytami). — Szachy. — Rebus. — Po naszymu, komedia w dwóch aktach wier-
szem. — Odezwa autora uwag nad dziełem Michelet'a p. n. L'amour. — Od-
redakcyi. — Doniesienia.

WIADOMOŚĆ O MONSTRANCYI

W KOŚCIELE FARNYM W MIEŚCIE BRZEZINACH.

Dziwiły się niegdyś i uwielbiały obce narody pobożność ojców naszych; dziś my, ich synowie, jeżeli nie z większym zadziwieniem, to bezwątpienia z większym uwielbieniem wspominamy o tych pomnikach pobożności, przez naddziadów w spuściźnie nam zostawionych. Dzięki Bogu, dzisiejszy postęp i zwrot religijny budzi nas powoli z letargu obojętności, powoli otrząsamy się z gnuśnej bezczynności; to co swoje, co nasze rodzinne, zaczyna nam być najmilsze, z chęcią i radością grzebiemy w zbutwiałych pergaminach, najdrobniejszy szczątek pamiątkowy starannie oczyszczamy z pyłu zapomnienia, otaczamy czcią, chowamy jako najdroższe skarby. Mówiąc to, mamy głównie na myśli owe odwieczne świątynie Pańskie, wzniesione przez naddziadów naszych ku chwale Bożej. Przetrwały już one wieki na ziemi naszej, a jeszcze silne, jak wiara ojców co je wznosiła. Co tylko jeszcze z kosztownych zabytków kryje się w tych przybytkach Bożych, wszystko to najwyraźniej nam mówi o pobożności i o zamożności naddziadów naszych. Dziś nie stać nas na takie: usiłujmyż je przynajmniej poszanować i czcią religijną otoczyć.

Jeden taki zabytek przedstawia załączony tu rysunek, zdjęty z fotografii naszego archeologa Karola Beyera, wyobrażający monstrancyę, własność kościoła farnego w mieście Brzezinach, powiecie rawskim. Monografią tego kościoła z XIII wieku mamy opisaną w *Pamiętniku religijno-moralnym*, w tomie XX, przez ks. kanonika Szeleskiego. Obecnie tutaj o odnowionej w tym roku monstrancyi chcemy słów kilka powiedzieć.

Cała jest srebrna, kuta w ogniu i suto złocona, prócz podstawy, która dla ozdoby ma tylko prążki złocone. Rzeźby i ozdoby są lane, nie kute. U samej góry Chrystus Pan na krzyżu, po bokach na dwóch gałązkach N. Marya Panna i św. Magdalena; poniżej na dwóch drugich gałązkach dwie osoby w stroju duchownym, z tych jedna w postawie modlącej się, zapewne fundatora tej monstrancyi oznacza. Niżej jeszcze N. Marya Panna z dzieciątkiem Jezus na ręku, otoczona promieniami, pod wspaniałym baldachinem stoi na półksiężycu. Ozdoby w około ciągle powtarzające się składają się z główek aniołków i wiary, z krzyżem i kielichem w rękach. Na prawo i lewo

melchizedecha szczerozłotego, na płaskich blachach rytowane są dwie osoby od głównej strony monstran-

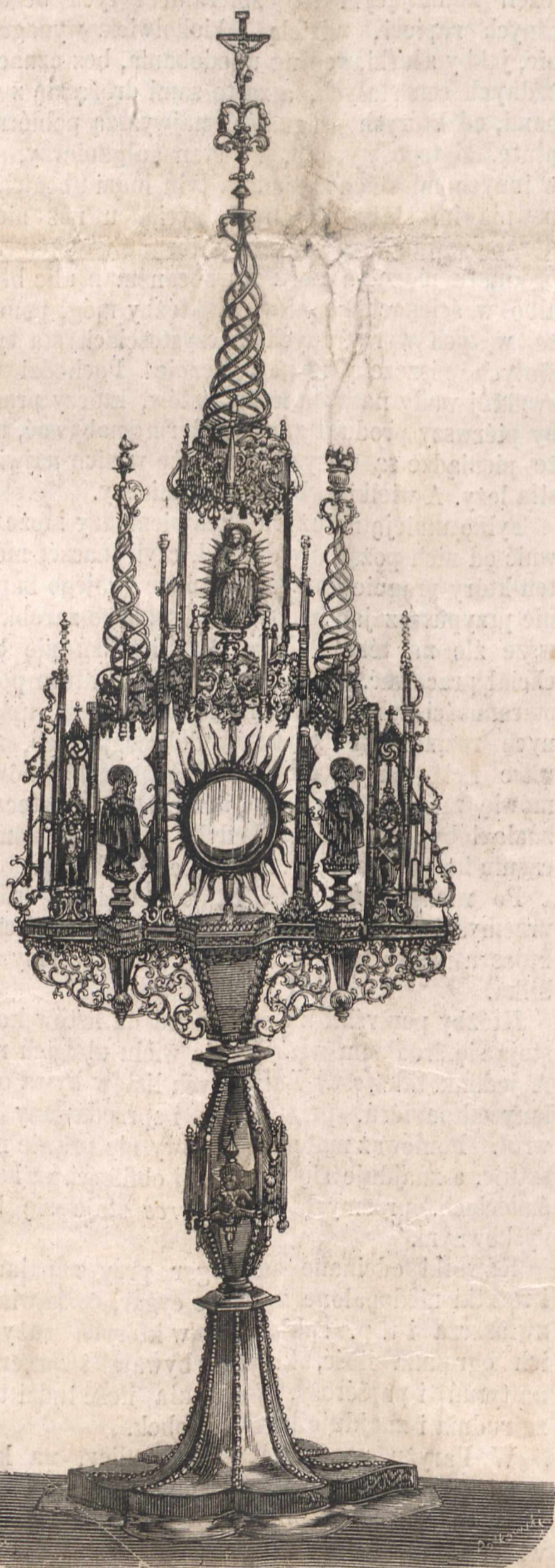
cyi: św. Stanisław Kostka i św. Kazimirz królewicz. Na tychże samych blachach z odwrotnej strony widzi-
my znowu rytowane dwie postacie: św. Stanisława bi-
skupa i św. Wojciecha. W téjże wysokości, bliżej
brzegu, pod gotyckimi wieżyczkami, stoją posążki
św. Heleny z krzyżem i św. Jana Chrzciciela; po dru-
giej stronie św. Agnieszki z barankiem i św. Jakuba.
Największa wysokość zawiera łokieć 1 cali 20, szerokość zaś największa cali 14½. Na podstawie na jed-
nej z ośmiu blach wygiętych, które łączą ją z mon-
strancyą, jest przytwierdzona tarcza zło-
cona z herbem Dołęga. Herb to jest fami-
lii Lasockich; litery oznaczają najnieza-
wodniej właściwego fundatora.

Po najsumienniejszym przejrzeniu akt najdawniejszych, nie można było znaleźć żadnej
wzmianki, któraby nam dowodnie wskazała, kto był
fundatorem téj ślicznej monstrancyi. Litery I. L. P. B.
mogą oznaczać albo Jakuba, albo Jana Lasockich, pro-
boszczów brzezińskich; że byli obydwoj, mamy tego
śladu w metrykach łacińskich. Jakub Lasocki, syn
Jakuba kasztelana łęczyckiego i Anny z Leżeńskich
Lasockich, zmarłych w Brzezinach około roku 1600,
był proboszczem do roku 1608; bardzo więc do praw-
dy podobne, że w tym czasie mógł fundować mon-
strancyę. Od roku 1616 był proboszczem brzeziń-
skim Jan Lasocki, po stryju swoim Mikołaju; mogą
więc te litery do niego się odnosić, jako do fundatora,
ale w którym roku, niewiadomo; może w 1628, bo
w tym roku był jeszcze proboszczem, i rok ten jest
wryty na wielkim krzyżu srebrnym z relikwiami
drzewa Krzyża świętego, jak niemniej litery „I. M.
Z. B. fecit“. Kto wie, czy to nie jaki złotnik brze-
ziński wykonał to śliczne dzieło, bo innych cech zło-
tniczych nigdzie niema. Bądź co bądź, zawsze epoka
fundacyi brzezińskiej monstrancyi odnosi się do
pierwszej połowy XVII wieku, a fundatorem jej Ja-
kub albo Jan Lasocki. Co się tyczy stylu, właści-
wego tej monstrancyi niema, jedne części gotyckie,
przyłatane do drugich z epoki odrodzenia, wieżyczki
zwinęte w ślimaka, stanowiłyby mogły przejście do
czasu zepsucia smaku w sztuce, na początku XVII
wieku.

Z przeciwniej strony herbu Lasockich, na drugiej
blasze, wrytowane w owalnej tarczy św. Michała
depnącego smoka, a po bokach głoski, które znaczą:

Stanislaus	S	B	Belenski
Decanus	D	K	Kołacinkoviensis
Canonicus	C	L	Lanciciensis
Praepositus	P	B	Brzeziniensis

Anno Domini AD 1653. 1653 (?)



MONSTRANCYA Z WIEKU XVII, W KOŚCIELE FARNYM W MIEŚCIE BRZEZINACH, POWIECIE RAWSKIM.
(Rysował Polkowski podług fotografii Beyera, rytował Kübler w drzeworytni Tygodnika.)

Na spodniej płaskiej krawędzi, w około blachy, napis:

RENOVARI FECIT POST SVECOS.

Długośmy się zastanawiali, chcąc odczytać pojedyncze litery wypisane około tarczy; długośmy szukali po aktach imienia, nazwiska i godności fundatora: rok 1653 i te słowa „*odnowić kazał po Szwedach*“ zwoziły nas ciągle, boć Szwedzi przed r. 1653 nie plądrowali tak bardzo Polski; główne ich rabunki, a tém bardziej zburzenie pałacu Lasockich w Brzezinach, odnosi się do roku 1655. Bardzo więc być może, iż albo rytownik pomylił się i zamiast 1663 wyrył 1653, albo też wytarła się jedna linijka od 5, mającej w dawnych napisach wielkie podobieństwo do 6, a wtedy cała trudność będzie rozwiązana. Rok 1663 będzie rokiem po owych nieszczęsnych napaściach Szwedów, będzie oraz rokiem, w którym był proboszczem brzezińskim Stanisław Belencki, z którego imieniem w metrykach dawnych łacińskich spotykamy się po raz pierwszy 9 maja 1654 roku, a nieco później z tychże metryk dowiadujemy się o jego godnościach, z kąd łatwo już byłoby dojść co znaczą pojedyncze litery w około tarczy umieszczonej na blasze monstrancyi. Na tém kończymy wiadomość o monstrancyi brzezińskiej.

Kronika tygodniowa.

Ciekawą bardzo byłaby statystyka pogruchotanych osi, kół połamanych, rąk i nóg wywichniętych, oraz karków przez pół nadkręconych podczas zeszłego tygodnia w Warszawie.

Rzeczywiście był czas przez który komunikacja uliczna stała się prawie niepodobną, a to zawsze skutkiem owego konserwatyzmu naszych stróżów miejskich, o którym już raz wspomnieliśmy. Dalibóg Warszawa jest pod tym względem jedynym może miastem w Europie. Co do porządku zwykliśmy tu powtarzać przysłowie: „Pan Bóg radzi o swojej czeladzi.“ A że pan Bóg rozmaicie radzi, to śniegiem, to deszczem, to odwilżą na dzień, to znów przymrozkiem na noc, więc też i skutkiem tego massa téj ucziwej czeladzi kuruje się po domach na stawy połamane. Jest zwłaszcza na ulicy Wierzbowej wprost gmachu teatralnego jeden historyczny kamień we flizach, na którym w zeszłym tygodniu dwóch nogi zwichnęło, a jeden złamał zupełnie. Pokazywano mi ten pomnik nowego rodzaju: obszedłem go z uszanowaniem. Na Nowym Świecie w dwóch miejscach odwilż dostała się aż do gliny, która pod szossą ma swoje siedlisko; widać z tego że pokład szabru nie musiał tam być bardzo gruby. Na domiar złego w najgorszy ów czas popsucia dróg wypadły noce księżycowe. Wiadomo że podówczas gaz się nie pali na ulicach, ponieważ jednak gęste chmury zaszuwały niebo i księżyc ukazywał się za niemi, skazani byliśmy na ciemności, które jeszcze powiększały niebezpieczeństwo podróżowania po mieście. Ale dzięki Bogu, są to już dzieje ubiegłej przeszłości: deszcz i słońce okazały się litościwszymi od stróżów.

Obrazek *Obiaduje z matką*, dany w teatrze Rozmaitości, zasłużył na nierównie lepsze przyjęcie, jak to które go spotkało na pierwszym przedstawieniu. Jest to zręczny utwór, w którym z sytuacji dość niemoralnej, rzeczywista moralność się wywiązuje.

Koncert na Przytulisko bardzo świetne przyniósł rezultaty. Sala była napełniona, przytém liczne pieniężne datki podwoiły dochód z biletów. Warszawianie zrozumieli potrzebę téj doraźnej składki, Przytulisko bowiem żadnych prawie stałych przychodów nie posiada, żyje tylko z jednorazowych datków; taki więc koncert najważniejszym jest źródłem dochodu téj użytecznej instytucji. Wybór części koncertowych był dobry, wykonanie przez amatorów staranne, za co wszystko należy się największa wdzięczność panu Wieniawskiemu, pod którego kierunkiem odbywały się próby i który współudziałem swoim wiele się przyczynił do uświetnienia koncertu.

Jednym z najważniejszych faktów zeszłego tygodnia jest pierwsze posiedzenie nowo założonego towarzystwa, w celu zaprowadzenia fabryki nawozów sztucznych. Specjalnością jest to naszego wieku, iż z rzeczy na pozór najmniej do czegoś przydatnych, daje się wyciągnąć bardzo praktyczny użytek w różnych

gałęziach handlu i przemysłu. I tak z faktów przytoczonych w mowie p. Bieczyńskiego, jednego z założycieli tego towarzystwa, przekonywamy się że do Anglii wprowadzono w roku 1815 przez port Hull 1,600,000 centnarów kości, a w roku 1835 przez tenże port 5,140,000 centnarów kości, rogów i kopyt zwierzęcych, z których w okolicy samego tylko miasta Linkoln 60 machin parowych zatrudnia się wyrabianiem chemicznych nawozów, oraz mączki. Wartość zaś różnych odpadków zwierzęcych w r. 1837 do Anglii sprowadzonych, podaną była przeszło na *osmdziesiąt milionów sześćset tysięcy złp.* Olbrzymie te rezultaty dowodzą wazności gałęzi przemysłu, którą nowo założone towarzystwo ma zamiar rozwinąć u nas. Na tém posiedzeniu obranym został prezesem towarzystwa pan Przysański, professor akademii medycznej, vice-prezesem zaś p. Barciński, dyrektor zakładów żeglugi parowej.

Przy téj sposobności zwrócimy uwagę czytelników na inną również ważną gałąź przemysłu, t. j. na handel gałganami, który u nas znajduje się w takim zaniedbaniu i stagnacji, że ceny wyrobionego w naszych fabrykach papieru, droższe są stosunkowo aniżeli w każdym innym kraju europejskim. A jednak konsumpcya tego papieru z każdym rokiem powiększa się, i jak z dotychczasowych rezultatów wróżyć można, ciągle jeszcze rosnać będzie. A droższyna ta nie pochodzi z rzeczywistego braku gałganów do wyrobienia papieru potrzebnych, tylko wprost z nieumiejętności korzystania z tego arcyważnego produktu miejskiego. Przedsiębiorcy nasi, zajmujący się tą gałęzią przemysłu, wpoili w siebie to przekonanie, z dawniejszych powzięte czasów, że gałgany żadnej prawie nie mają wartości, że zatem najwyższą z ich strony jest łaska, jeżeli zajmującym się zbieraniem tych bezużytecznych rupieci, udziela jakiegokolwiek wynagrodzenia, jakby z łaski, według upodobania, bez oznaczenia żadnych cen stałych, a za to sami drożą się z wyrobami, od których pragną jak najwyższą pobierać zapłatę. Z tego wypada, że stan gałganiarzy, który w innych miastach zatrudnia tylu ludzi ubogich i zapewnia im stały sposób do życia, u nas nie jest uorganizowanym, i większa połowa tego użytecznego produktu marnuje się z wyrzucaniem z ulic błotem, albo w ściekach kanałów. I któżby mógł pomyśleć, że w tych wyrzucanych nieczystościach sta tysięcy złotych niszczejają bezpożytecznie! Pochodzi to ze zwykłej wady naszych kapitalistów, którzy pragnęliby pierwszy produkt za wpół darmo nabywać, tusząc że pieniądze są wszystkiem, i że w nich największa siła leży. A wielki to błąd ekonomiczny.

Tylko umiejętne użycie tych pieniędzy może zapewnić od nich pożądaną dochód, czyli inaczej mówiąc, ten który pragnie korzystać sam ze swojego kapitału, nie przypuszczając innych do słusznego zarobku, zawsze źle na tém wyjdzie, bo nikt dlań nie będzie chciał pracować. Ileż to żebractwa, które pomimo staranności władzy i tak hojnie u nas uposażonych rozmaitych instytucji dobroczynnych, zalega ulice i ciągłym natręctwem trapi przechodniów, ileż mówię takiego żebractwa, ileż rąk bezpożytecznych, znalazłoby zatrudnienie, gdyby pomyślano o następczeniu im go zapewnieniem stałego zarobku?

Po wielkich miastach istnieje tysiące drobnych przemysłów, że użyjemy tego wyrażenia, ulicznych, które u nas są prawie nieznanne. Przytoczymy z nich kilka.

Któżby pomyślał że odrzucone od listów koperty, stają się środkiem wyżywienia wielu ubogich rodzin. A jednak tak jest. Lak z tych listów bywa oddzielany od papieru, przetapiany i sprzedawany napowrót. Ponieważ materyał surowy nie prawie nie kosztuje, a znajduje się w wielkiej obfitości na każdym śmieciach, przemysł ten *en gros* staje się bardzo zyskownym.

Kawałki odcinane od cygar przy zapalaniu ich i resztki niedopalone z tychże cygar, w kawiarniach zwłaszcza i t. p. zakładach, w których zużywa się ich ogromna ilość, krajane bywają i przerabiane na tytuń i papirosy, a niemała ilość ludzi tém się zatrudnia i znajduje hojny zarobek.

W Paryżu na każdej prawie ulicy, na każdym przejściu, spotkać można przemysłowca, którego kramik stanowi mały stoliczek, a na nim szcztoki i szwaks, albo pędzelek i lakier. Zajmuje się on czyszczeniem obuwia przechodniów podczas błota, i za tę nieraz bardzo użyteczną przysługę z wdzięcznością

przyjmuje najdrobniejszy datek; a jednak niektórzy z tych ludzi zebrali małe fortunki.

Toż samo można powiedzieć o tych, którzy w Londynie odmiatają błoto z głównych przejść ulicznych. Niedawno któraś gazeta wspomniała, że jeden z takich przemysłowców zrobił sobie z datków przechodniów 15,000 franków (25,000 złp.) majątku.

A cóż dopiero powiedzieć o tysiącach innych przemysłach, o tych komisyonerach, których uczciwość w przysłowie już weszła, o tych wszystkich co się trudnią utrzymaniem porządku i dogodności ulicznej i żyjąc tylko na łasce publiczności, hojny z niej dla siebie otrzymują zarobek!

Ale żeby dojść do takich rezultatów, powinniśmy przedewszystkiem pamiętać, że nikt się nie będzie trudził w oddawaniu nam posług, jeżeli nie znajdzie za to stosownego wynagrodzenia. U nas, chociażby kto chciał chwycić się podobnego zatrudnienia, uważano by to za pewien rodzaj powinności, i najczęściej, nie mówiąc już o datku, nawet podziękowania by nie otrzymał. Wszakże mieliśmy tego nierzadkie przykłady. Nic więc dziwnego że ubodzy wolą żebrać, bo to jeszcze najobfitsze pole zarobku.

Bardzo chwalebna nowością jest założenie w tych czasach dla piaskarzy, uliczników i t. d. szkółki, w której uczą się czytać, pisać i rachować. Fundusz oznaczony jest na 30 takich chłopców; zaopatrywani są oni przytém w potrzebne książki, papier i pióra, pilniejsi zaś wynagradzani bywają podarunkami, co niemała jest dla tych małców ponętą. Każdy przeprowadzający pięciu towarzyszków do szkoły, otrzymuje w nagrodzie kompletne ubranie, a kapłan z miejscowej parafii udziela im lekcye religii. Łatwo da się pojąć wysoka użyteczność takiego zakładu, przy ciągle rozszerzającym się u nas gorszącym zwyczaju wysyłania małych dzieci na żebranie. Nieraz przechodząc późną porą przez główne ulice miasta, przy najgorszej pogodzie, zdarzało mi się napotykać kilkoletniego chłopca albo dziewczynkę, siedzących pod murem, zaledwie okrytych kilkoma nędznymi łachmanami, drżących od zimna i jęczącym głosem domagających się jałmużny od przechodniów. Parę razy chciałem wziąć z sobą takiego małego żebraka do domu, żeby go ogrzać lub nakarmić, i wypytawszy się, pomyśleć o umieszczeniu go w którym z instytucji dobroczynnych; ale zawsze dziecko odpowiadało, że mu niewolno ztąd odejść, że mu matka albo ojciec nakazali siedzieć na miejscu, płakać i prosić jałmużny, że gdyby ośmieliło się pójść za mną, to z pewnością spotkałaby je sroga kara od rodziców. Ręczę za dokładność szczegółów, bo kilka razy wydarzyło mi się powtórzyć to doświadczenie. Podobnego rodzaju postępowanie z dziećmi dowodzi najwyższego już spodlenia natury ludzkiej, bo z pewnością większa połowa tych słabych istot narażoną jest na śmierć przedczesną, a jeżeli zdołają przetrwać takie srogie próby, jakaż je przyszłość czeka?

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu parę rautów, na których całe usiłowanie zgromadzonych gości obrócone jest na to, ażeby ukryć ziewanie gwałtem wydobytą się na usta. Jeszcze muzyka staje się jedyną ucieczką na podobnych zebraniach, ale nie zawsze i nie wszędzie dobrą muzykę można słyszeć. Z tego powodu przypominamy damom naszym, lubiącym ugaszczać liczniejsze zebrania, o grze towarzyskiej, która niewiadomo dlaczego poszła w zaniedbanie; chcemy tu mówić o tak zwanym *Sekretarzu*. Są to krótkie pytania, spisane przez rozmaite osoby na małych kawałkach papieru i zmieszane razem; każda z obecnych osób wyciąga jedną taką kartkę i pisze odpowiedź. Jeśli w towarzystwie znajduje się kilku dowcipnych ludzi, te pytania i odpowiedzi stanowią nieraz bardzo zajmującą całość.

Każdy znał tu kiedyś w towarzystwie warszawskiem dwóch braci, z których młodszy zdawało się całkiem dowcip i towarzyskie zalety starszemu zabrał, chociaż obaj byli prawie nierozdzielni. Otóż na zapytanie umieszczone na jednej z takich kartek:

— Co myślisz o młodszym bracie X*, — odpowiedziano:

— Z bratem cetno, a sam licho.

Oto jeszcze niektóre:

Pyt. Dlaczego pan Bóg stworzył kobietę z boku mężczyzny?

Odp. Aby mu potem przez całe życie bokiem wyłaziła.

Pyt. Dlaczego obywatelki Aten tak wielkie miały nabożeństwo do Jowisza?

Odp. Bo się dla swoich kochanek w deszcz złoty przemieniał.

Pyt. Co jest korzystniejszym, piękność czy brzydota?

Odp. Brzydota, bo ona zawsze zostaje, a piękność przemija.

Dramat Halszka z Ostroga Józefa Szujskiego, o którym już kilka razy wspominaliśmy, ma być wkrótce przedstawiony w Pradze w przekładzie czeskim. Przedstawienie *Barbary Radziwiłłówny* Odyńca w Wilnie wielkie miało powodzenie, sądzymy jednak że autor powinienby w sztuce swojej zaprowadzić niektóre zmiany na korzyść sceny, co właśnie po przedstawieniu najpraktyczniej da mu się poznać. Tuszymy również, że w *Jerzym Lubomirskim*, którego prolog w piśmie zbiorowym J. Ohryzki już jest drukowanym, wymagania sceniczne dokładniej zachowane zostaną.

Nową i ważną wiadomość w tej chwili otrzymaliśmy. P. Pfeiffer, dyrektor teatru krakowskiego, ma zamiar ogłosić konkurs na dramat a podobno i na komedię. Autorowi otrzymującemu praeium pozostawia się własność druku i przedstawienia swojej sztuki w innych teatrach polskich, z zawarowaniem jedynie teatru krakowskiego, który nabywa pierwsze prawo do przedstawienia premiowanej sztuki. O bliższych warunkach Czas jako gazeta miejscowa doniesie.

Ruch na wystawie malarskiej obudził się jakoś w tych czasach, kilka obrazków zakupiono i przez pewien czas wystawa była dość pilnie zwiedzana. Ze wszystkich najwięcej mają pokupu obrazki rodzajowe i pejzaże.

Wielkie zasy pyłowe, które w tych czasach zajęły wszystkie drogi, stały się przyczyną kilku smutnych wypadków. Gazeta Codzienna mianowicie doniosła, że w olkuskiem urzędnik jakiś z żoną, dwiema córkami i kuzynem, wracając saniami z zabawy w sąsiedztwie, z powodu zasp śnieżnych, zamieci i ciemnej nocy zmylił drogę, i wpadli wszyscy w szyb po byłych kopalniach olkuskich pozostały, około 60 łokci głębokości mający.

Straszny ten wypadek miał mieć miejsce w nocy z d. 19 na 20 zeszłego miesiąca. Dziwi nas nieogłębność z jaką zaniedbano ogrodzić tak groźną przepaść, podczas kiedy za granicą najmniejszy spadek lub wąwóz posiada ogrodzenie dla bezpieczeństwa podróżujących. Ale niestety, u nas przyzwyczailiśmy się już do tego, że na najwięcej uczęszczanych drogach mostki, złożone z kilku nieociosanych i niespojonych klocków, łamią się pod powozami, a czasem nawet w braku tychże mostków trzeba w bród przejeżdżać rzeczki, albo z największym niebezpieczeństwem przez rowy się przeprawiać. O ogrodzenie zaś przy miejscach spadzistych nikt nie dba; niech tam sobie jaki nieznajomy kark kręci, co to miejscowych obchodzi?

To nam przypomina inny wypadek, który miał miejsce niezbyt dawno w Warszawie. Jakiś pijak utopił się w rynsztoku, ale literalnie utopił, bo wpadłszy z głową, nie umiał powstać i woda go zalała.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

M U Z Y K A.

Vieuxtemps i jego koncerta. — Ofiary na rzecz przyszłego Instytutu Muzycznego. — Trombalcazar, nowa operetka Offenbacha. — Nowości muzyczne: Józef Wieniawski, Troschel, Herzberg, Tejchman, Tuszyński.

Z powodu wystawienia na scenie naszej *Hrabiny*, nowej opery Moniuszki, o której w Nr. 22 Tygodnika Ilustrowanego wyrzekliśmy już zdanie, niepodobna nam było zajmować się szczegółami koncertów danych w ciągu zeszłego miesiąca przez znakomitego skrzypka, Henryka Vieuxtempa. A było ich pięć, z tych trzy ostatnie dane w Wielkim Teatrze, licznych słuchaczy ściągnęły; bo też współdziałanie orkiestry dozwalało temu wirtuozowi wzbogacić swój program dziełami niepospolitej wartości, o które wszyscy lubownicy sztuki muzycznej w ogólności, a wielbiciele jego olbrzymiego talentu w szczególności, słusznie się dopominali. Jednakże Vieuxtemps skąpym się w tym względzie okazał; oprócz *Koncertu D* (miękkie), *Fantazji appassionato*, *Romansu z Halki* własnej kompozycji, tudzież *Koncertu Beethovena*, do

którego wirtuoz ten dodał dobrze pomyślaną kadenecją, samemi zresztą drobiazgami, wyrachowanemi na chwilowy i olśniewający efekt, nas karmił. Nawet smutnej pamięci *Karnawał Wenecki*, od lat kilku słusznie zasypany pyłem zapomnienia, nie wahał się poruszyć, a otrząsnawszy z kurzawy, rzucił na pastwę tym, co tak niesmaczną potrawą długo się karmili, tęskniąc może za nią. Czyn ten heroiczny (bo z wielu powodów za taki uważać go możemy), nie poszedł na korzyść nikomu; ułatwił on tylko rozstanie się wirtuoza z publicznością, zmniejszył żal po jego na długo może stracie, gdyż tego rodzaju figle serc nie roztkliwiają, tęsknoty za oddalającym się nie wzbuudzają.

Ale dosyć już tych karnawałowych wspomnień; jesteśmy w środku prawie postu, więc zostawimy obcych w pokoju, zajmijmy się raczej porachunkiem sumienia.

Przyszły Instytut Muzyczny nie przestaje budzić coraz większego zajęcia, do coraz liczniejszych ofiar zniewalać społeczeństwo nasze. We wszystkich ważniejszych miastach prowincjonalnych odbyły się albo odbywają jeszcze koncerty, a gdzie braknie zasobów muzycznych, bale lub teatru amatorskie ich miejsce zastępują. Pisma nasze peryo yczne codziennie przynoszą jakieś wieści z rozmaitych stron kraju, o tych gorących usiłowaniach na rzecz publicznego dobra i sztuki naszej ojczyznej; straciliśmy już nawet liczbę ich, tak wielka pochopność istnieje w tym względzie pomiędzy ziemianami, mieszkańcami miast, pomiędzy kmiotkami nawet, jak o tém pisano z Płockiego. W Warszawie wiadomy już rezultat balu danego na dochód przyszłego Instytutu; trzy ogromne koncerty, mające się urządzić w ciągu bieżącego miesiąca, znacznym również funduszem bezwątpienia przyczynią się do zaokrąglenia wymaganej summy, do której niemały zasiłek wpłynie także z zabawy muzycznej, daniej 29 lutego w domu p. Zdzitowieckiej, w której córka gospodyni Natalia, bardzo biegle grająca na fortepianie, najważniejszy przyjęła udział, pod przewodnictwem swego nauczyciela, dyrektora orkiestry Adama Münchhejmpera. Nie godzi się również pomijać ofiar fabrykantów, rzemieślników i biędnych nawet artystów muzycznych, o których kilkakrotnie już wspominaliśmy w naszym piśmie.

Dnia 1 b. m. przedstawiono na scenie Wielkiego Teatru nową operetkę pod tytułem *Trombalcazar*, z muzyką Offenbacha, autora *Matężństwa przy latarniach* i *Oberżystki z Elizondo*. Jest to drobiazg zakrawający na farsę, ale dużo w nim życia, humoru i dowcipu. Więc też publiczność, przy wyborniej grze pani Gruszczyńskiej, Matuszyńskiego, Ziółkowskiego i Damsego, ubawiła się i uśmieła do syta. Nie widzimy potrzeby rozwodzenia się nad treścią tej operetki; epizod z życia koczujących po prowincyi aktorów, dostarczył jej wątku. Muzyka zaś lekka, wesoła, nieroszcząca sobie prawa do wyższego, artystycznego znaczenia, ozdabia ją i podnosi w części.

Nam się atoli zdaje, że dosyć już tych Offenbachowskich pasztecików, prędko się bowiem przejadają. Jeżeli idzie koniecznie o jednoaktowe, komiczne operetki, toć przecież nie braknie ich na scenie francuzkiej. Ambroży Tomass, Wiktor Masse, Grisar, Bazin i wielu innych, wyrobili sobie niepoślednie stanowisko w rzędzie scenicznych kompozytorów; utwory ich również wesołe, a mniej zwykle trywialne, mogłyby się z powodzeniem utrzymywać na naszej scenie. W takiego rodzaju sztukach różnaitość i nowość są rzeczą pożądaną. Kompozytor którego natchnienie kręci się ciągle w maleńkiem kółku, mimowolnie powtarzać się musi, trzyma się bowiem formy zbyt jednostajnej, ażeby nową rzeczywiście myśl wysnuć mógł z siebie.

Kiedy już mowa o kompozycji, niechże nam będzie wolno pochwalić się kilka świeżemi publikacyami, jakie oto w tych czasach okazały się w składach muzycznych. Sennewald najwięcej ich dostarczył, co niemałą jest zasługą w dzisiejszej stagnacji literackiej, na którą się wszyscy księgarze użalają. Na pierwszym planie stawiamy dwa utwory Józefa Wieniawskiego: *Modlitwę do N. M. Panny Ostrobramskiej* śpiew op. 16, *Impromptu* na fortepian op. 19, tudzież piosnkę Troschla do słów Władysława Bogusławskiego, p. t. *Ona się śmiała*. Prace obu utalentowanych kompozytorów zanadto już są znane naszej powszechności muzycznej, ażeby potrzeba było słowami zachęty zwracać na nie uwagę; przechodzimy więc do innych.

Dwie kompozycje Antoniego Herzberga: *Trois Mélodies* op. 68 i *Romans* op. 71, pożądanemi być mogą dla młodszej generacji fortepianistów, tak jak piosneczka Antoniego Tejchmana p. n. *Córka*, wydana przez tegoż nakładcą, dla wszystkich zwolenników muzyki wokalne prawdziwie miłą będzie nowością.

Pan Tuszyński, znany kompozytor wielu zręcznych polek i mazurków, wydał swoim nakładem *Elegię* na skrzypce, z towarzyszeniem fortepianu.

Brat Piotr,

KWESTARZ ZAKONU OO. BERNARDYNÓW W WARSZAWIE.

Fac bene dum vivis, post mortem vivere si vis.

Temi słowy niewytwornej ale rymowanej łaciny, które sobie *pro memoria* zapisał nieoceniony kwestarz autora *Obrazów Litewskich*, zaczynamy krótki życiorys zakonnika, znanego całemu miastu naszemu za życia, a czynami skromnego zakresu zasługującego na pośmiertną pamięć. Żyje on dotąd w wdzięcznym wspomnieniu ubóstwa, dla którego zbierać potrafił hojne ofiary możniejszych, żyje zapewne i w pamięci tych, których był jakżeżnikiem, których datki donosił tam, gdzie wołała potrzeba i nieszczęście poczciwe.

Brat Piotr, z którego znajomą postacią z zadowoleniem się spotka wielu czytelników naszych, wyszedł z pod strzechy wieśniaczej. Nazywał się Ostrowski, a na imię miał Tomasz, nim z przybraniem klasztornej sukienki przemienił je na to, pod którym zyskał popularność, i cichemi zasługami kwestarza zasłużył na zaszczytne wspomnienie po śmierci. Urodził się w Galicyi, w cyrkule bocheńskim, we wsi Raciborsku d. 19 grudnia 1811 r., przeżył więc zaledwie 47 lat, i jeszcze długo mógłby być użytecznym klasztorowi, nieść pomoc cierpiącym, pośredniczyć pomiędzy stanami pod względem zamożności zostającymi na przeciwnych krańcach. Nauki pobięrał tylko w domu, a dla rodziców jego, Szczepana i Agnieszki, którzy jedynie zapewne zastosowane do zamożności swojej dali mu wychowanie, zaszczytem jest ten syn, usposobiony widać już przez nich do zebrania w ciągu życia wcale różnostronnych na swój stan wiadomości, do pożytecznego żywota w pokorze ducha i łagodności chrześciańskiej. W 22 roku życia oddanym był do rzemiosła, ale widocznie dźwiganie ciężkiego młota nie było jego powołaniem. Po dwóch latach zaledwie widzimy go już w Warszawie, przyjętego na aspiranta do zakonu OO. bernardynów, a d. 19 października 1834 r. obleka habit. Niespełna w rok potem przeniesiony został do klasztoru w Skępem, gdzie ukończył nowicyat i uczynił professyą zakonną jako braciszek d. 4 października 1836 r. Odtąd przez 22 lat był kwestarzem, do r. 1848 w Skępem, a następnie w klasztorze warszawskim. Umarł d. 25 stycznia 1859 r.

Takim jest opis biegu życia brata Piotra; są to jednak same daty suche i nic nie mówiące. Tylko bracia zakonni, tylko bliżej go znający dobrodzieje, do których zachodził z puszką kwestarską po ofiarę wdowiego grosza, i których przyjaźń wraz z zaufaniem zyskiwał, tylko nieszczęśliwi, którzy w nim znaleźli opiekuna, opowiedzieć mogą dzieje tego cichego kwestarskiego zawodu, te lat dwadzieścia, przez które, obok ofiar dla klasztoru i nędzy, zbierał powszechnie uznane skromnych swoich zasług.

Był to człowiek towarzyski, powierzchowności przyjemnej, rozmowny, obejściem i postawą zarówno obudzający zaufanie. Takie właśnie zalety najpożądanejsze są u kwestarza, szukającego datku dla biędniejszych u ludzi, którzy nieraz dopiero zręcznie zachęceni, składają hojniejszą ofiarę. W długiej praktyce kwestarskiej nauczył się przemawiać do każdego jego językiem. To też nikt, od bogacza do wyrobnika, nie odmawiał daru wedle możności bratu Piotrowi, i zawsze pełną puszkę przynosił on do klasztoru. Oprócz tego możniejsi dobroczyńcy wiedzieli, że chodząc od domu do domu, brat Piotr na poddaszach i w ubogich mieszkankach ustronniejszych ulic, spotykał się nieraz oko w oko z nędzą, którą stosownie do możliwości swojej wspomagał i pamięci zamożniejszych polecać potrafił. To wyszukiwanie wstydzającego się zebrać ubóstwa, stało się przyczyną zawiązania pełnego chrześciańskiej piękności stosunku pomiędzy bratem Piotrem, a najbogatszymi i wysokie stanowisko zajmującymi osobami w naszym mieście. Kwestarz

bernardyński był ich jałmużnikiem, i hojnie na ręce swoje składane ofiary niósł potrzebny ojcom rodziny, ubogim wdowom, osieroconym rodzinom. Prawe i zacne wywiązywanie się z przyjmowanych na siebie obowiązków, wyrobiło mu nieograniczone w tym względzie zaufanie, a stosunki pozawiązywane dały możliwość zawsze prawie dopomagać nieszczęściu, gdy się uciekło pod opiekę brata Piotra.

Czyny takie nie bywają głośne, i brat Piotr nie szukał z nich chluby. Po śmierci jego dopiero niektóre doszły do wiadomości publicznej. Z tych jeden chociaż powtórzmy.

Na facyatce domu jednej z ustronniejszych ulic mieszkali w r. 1856 ludzie szczególną dotknięci nędzą. Ojciec rodziny, dawny wojskowy, i żona jego od roku już przeszło nie wychodzili z domu. Żona była chora rzeczywiście, mąż wstydił się okazać światu łachmany, a na jakiegokolwiek cieplejsze ubranie nie starczyło. Na komorne za małą izdebkę i na lichą strawę wystarczała mała pensyjka, lecz na nic więcej. Dopóki mógł wychodzić stary żołnierz, zarabiał pisywaniem prózb i przepisywaniem; ale niezadługo ustał i ten dochód. Jedyna niedorośła córka, która resztkami ubioru matki się odzięwała, usługiwała im obojgu. Przypadek nasunął świadka tej kryjącej się z niezastudzonem nieszczęściem nędzy, w pewnej osobie, która to opowiedziała w towarzyskim gronie. Jeden z obecnych, niezamożny podobnie, wziął do serca opowiadanie; ale to co mógł oddzielić ze swjej garderoby, nie byłoby dostateczne, i czuł że potrzeba kogoś, coby wstydzającego się przyjąć jałmużnę starca skłonił do nieodmówienia szczerem sercem niesionej pomocy. Udał się więc do brata Piotra, któremu zazwyczaj powierzał oszczędności swoje poświęcane na cel dobroczynny.

Nazajutrz dwaj, już dziś nieżyjący, dobroczyńcy szlachetnego biédaka, spotkali się na drodze do ubożego mieszkania. Pierwszy niósł na co go stać było, a brat Piotr witał go uśmiechnięty, pytając z właściwym sobie humorem: „A cóż kochany panie Mikołaju, czy nie prawdziwy *handel, handel!* ze mnie?” miał bowiem zarzucony na rękę porządny, ciepły paltot i inne przedmioty.

Z takich zdarzeń składało się życie brata Piotra, który silne zdrowie i niezmordowaną czynność poświęcał na ociąganie łez nędzy, na otwieranie drogi do zarobku i pracy, tam gdzie ją choroba lub okoliczności zamknęły.

Pozostały po nim, oprócz wdzięcznych wspomnień, nieliczne pamiątki, dowodzące że brak gruntownego teoretycznego ukształcenia potrafił zastąpić nabytym doświadczeniem i umiejętnym korzystaniem z niego. Szkoła życia rozwijała ten umysł prosty i czynny. Jedną z takich pamiątek jest artykuł brata Piotra, umieszczony w Nrze 19 Przeglądu Rolniczego, wychodzącego w r. 1856 przy Kronice Wiad. Kr. i Zagr., a obejmujący opis i rysunek narzędzia do drapania mchu na łąkach, przez niego pomyślanego. Narzędzia takie wyrabiała podobno w swoim czasie fabryka znana pod firmą Jagielskiego, przy ulicy Trębackiej. Drugą podobną pamiątką jest projekt instytutu pod nazwą św. Andrzeja, dla wychowania ubogich dzieci w pobożności i moralności i dania im praktycznego ukształcenia, zastosowanego do umiejętniejszej na przyszłość pracy około roli; albowiem dzieci z takiego zakładu wychodzące brat Piotr przedewszystkiem radzi w tym projekcie kierować na oficyalistów wiejskich. Ten projekt mamy pod ręką. Widać z niego jak prosty kwestarz chciał i potrafił wnikać w potrzeby nędzy, z którą tak blisko był znajomym, jak rozumiał że sam datek pieniężny jeszcze nie wyczerpuje chryścijańskiego miłosierdzia.

Dzięki umiejętności obchodzenia się z każdym, brat

Piotr zyskiwał sobie przyjaźń darzących, a gorliwość w niesieniu pomocy potrzebny, jednała mu serca wspomóżonych; to też wiadomość o jego chorobie z prawdziwym smutkiem przyjęta została. Jeden z hojniejszych dobrodziejów zabrał go do swego domu, dla dozoru i wygody w chorobie. Pomoc lekarska nie uratowała jednak życia; brat Piotr oddał ducha Bogu, a zgromadzeni w dniu złożenia zwłok



BRAT PIOTR KWESTARZ.

(Rysował Tegazo podług fotografii Beyera, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.)

jego do grobów w kościele bernardyńskim, i później na nabożeństwie żałobnym w tymże kościele ze składki publicznej odprawionem, modląc się za jego duszę, powtórzyć mogli: Pokój sprawiedliwemu!

polskie, a między którymi ukrywa się rokoszna okolica Ojcowa. Jeszcze i w pobliżu Karniowic, widać przyjemne doliny, zamknięte skałami wyniosłymi, a te, ustrojone krzakami i krzewy, dalej lasem, czynią z Karniowic miejsce miłej przechadzki. Nieopodal przechodzi kolej do Mysłowic.

Z dolin karniowskich, ktoby się zakrętami ich zapuścił, doszedłby do czarownych wąwozów Prądnika krakowskiego (Ojcowa), i przechadzkę tę widokiem pięknych scen przyrody obficieby sobie miał opłacać.

Nieopodal od kaplicy, idąc w stronę Bolechowic, u podnóża skał, stoi piękna, dość wysoka figura z kamienia ciosana, przez kogo, kiedy i na jaką pamiątkę była fundowana? niewiadomo.

Jerzy Pipan, doktor medycyny i prawa, kawaler złoty św. Marka w Wenecyi, rajca krakowski, rektor uniwersytetu krakowskiego i padewskiego († 1648 r.), dziedzic podówczas Karniowic, założywszy kamień węgielny i wymurowawszy w ogrodzie na wzgórzu kaplicę, chciał ją mieć poświęconą czci św. Maryi Magdaleny, i w tym celu udał się do Marcina Szyszkowskiego, biskupa krakowskiego, który przychylając się do tak chwalebego żądania, polecił skutecznie to umocowanemu przez siebie ks. Mikołajowi Mościckiemu, co rzeczywiście w d. 12 maja 1624 r. uastąpiło. W lat 42 później, godny poprzednika swego następcą, ks. Stanisław Wojeński, kanonik krakowski, do którego dziedzictwo Karniowic później przeszło, zapewne przy odnowieniu tej kaplicy, kazał w niej umieścić r. 1665 jeden napis na marmurze, przypominający i pierwszego założyciela, i rok fundowania kaplicy, a drugi w r. 1666, na pamiątkę dnia 18 listopada 1665 r., w którym ks. Michał Oborski, biskup laodycejski i suffragan krakowski, złożył w tej kaplicy relikwie św. pańskich męczenników: Antonina, Grzegorza i Cyryaka. Obrząd ten odbył się z wielką okazałością, przy szafunku łask Boskich, a to przez udzielenie w dzień poświęcenia tej kaplicy odpustu na rok jeden, a na wieczne czasy, ku pomnożeniu chwały Boga, pobożnie uczęszczającym do tej kaplicy, w każdą rocznicę poświęcenia jej, 40 dni odpustu.

Inne cztery napisy w tej kaplicy znajdujące się, które tu ks. Wojeński umieścił (między innymi księcia Jerzego Lubomirskiego, hetmana p. k.), wlewają w duszę czytelnika to słodkie przekonanie, że mąż ten, co tyle był gorliwym o chwałę Boga, co tyle umiał cenić obrońców kraju, osoby swego powołania i święte przyjaźni związki, był zapewne prawdziwym synem ojczyzny, świętobliwym kapłanem, gorliwym obywatelem, miłośnikiem prawdy, ludzkim i uprzejmym w pożyciu, kochanym i żalowanym od wszystkich.

Karniowice w r. 1816 przez Barbarę Meciszewską od Ossolińskich nabyte, przeszły po jej śmierci 1835 r. prawem sukcesy na jej starszą córkę Emilię Bartynowską, żonę podówczas Maksymiliana Bartynowskiego, urzędnika w sądzie appellacyjnym wolnego miasta Krakowa, gorliwego miłośnika pamiątek polskich. On też kaplicę staraniem i kosztem swoim, za pozwoleniem władzy duchownej, odnowił, poświęcenie i odprawianie w niej mszy św. wyjednał, dwoma ołtarzykami po bokach przyozdobił i na wieczną pamięć tej uroczystości, r. 1838 odprawionej, opis tej ceremonii na tablicy marmurowej, polskimi złotymi

literami ryty, w murze wewnątrz kaplicy obok drzwi umieścił. Po śmierci jego, d. 11 września 1839 r. przypadłej, Karniowice przez różne przechodziły ręce, w kaplicy jednak od lat kilkunastu ustała chwała Boża, chociaż w niej znajdują się w trumience oszklonej relikwie z opisami, opatrzone pieczęciami kardynałów, dowodzącymi ich autentyczności.



KAPLICA W KARNIOWICACH POD KRAKOWEM.

(Rysował Kostrzewski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.)

KARNIOWICE.

Owóz zład od zachodu widać Karniowice, Rządnych znak gospodarzów. (Woronicz).

Wieś ta leży na zachód Krakowa, 1 i pół mili od Krakowa, w parafii Bolechowice, w okręgu krakowskim, w położeniu przyjemnym, przyległa pasmu gór skalistych, które zład ciągną się w królestwo

Mikołaj Potocki

STAROSTA KANIOWSKI.

Pamięć każdego ludu ma tę szczególną własność, że prawie nie odbija ani przyjmuje w siebie wrażeń, jakie wywiera większa część, i to najznamienitszych, ludzi historycznych. Można napewno twierdzić, że im który więcej zdobył sławy, im więcej przysług oddał, z których długie korzystają wieki, tym uporczywiej mileżą o nim podania gminne. Mianowicie opiekuńcze duchy ludzkości, dobroczyńcy, co niejednę łzę otarli, co poprawili dolę całych prowincyj, przechodzą w zapomnienie zaraz w drugim pokoleniu. Pytajmy naszego ludu, jakie są nazwiska historyczne, które powtarza w powieściach lub pieśniach? Czy zabłąkało się tam imię Kazmirza Wielkiego króla chłopków? Czy wspominając w niektórych okolicach Sobieskiego, nie łączy z nim jakiegoś niedorzecznej baśni o sprzedaniu tysięcy głów ludu wiejskiego Tatarom? Modnażby sumiennie ztąd wniosek wyprowadzić, że lud dlatego nie miał co zachować w pamięci, bo o nim nie pamiętano, kiedy tysiąc znaleźć można dowodów, iż lepiej jak dziś umiano praktykować miłosierdzie chrześcijańskie, bo dola ludu była kwitnąca; więcej jak dziś zbliżano się do niego, bo prostota swojskiego obyczajów była większą. Psychiczny ten fenomen nietylko u nas, lecz wszędzie się powtarza. Największa popularność jeszcze się nie zdoła przedrzeć przez próg chałtury, jeżeli w jednej ręce nie trzyma miecza, a w drugiej pochodni, jeżeli nie zostawi za sobą strumieni krwi i stosów popiołu, albo też w mniejszym zakresie działając, swoim szaleństwem lub ekscentrycznością nie da się ludziom we znaki.

Uważałem to w naszych podaniach i pieśniach, że najczęściej opiewają ekscesa potępionych prawem gwałtowników. Gmin, uderzony takim zjawiskiem, które go nieraz wiele krwi i strachu kosztuje, robi je bożyszczem swojej wyobraźni i podaje z pokolenia w pokolenie.

Najsilniejsze wrażenia odbiera on przez zmysły, gdy klasy wykształcone tkliwsze są na wrażenia moralne. Większe zbliżenie się z naturą do pierwszych głównie usposabia.

Nie można mieć za złe gminowi, że się nie troszczy o historję, kiedy ta odgrywa się najczęściej po za obrębem jego sfery, a jeżeli o niego zaczepia, to jak wóz, który lecąc pędem, wzbija tumany kurzu, opadające znowu na drogę.

Przyszły mi na myśl te uwagi, gdy się zastanawiał daczego postać starosty kaniowskiego tak jest popularną, że dotąd żyje w podaniach i pieśniach ruskiego ludu, wprawdzie, że tak powiem, ułamkowa, zdefigurowana, lecz zawsze świeża. Dlaczego wreszcie żyje i między klasą oświeconą w anegdotycznych powiastkach, w facecjach, nie ledwie codziennie na jego karb dorabianych. Pan starosta widać był humorystą, czerpiącym z każdej warstwy ludności żywił do swoich konceptów. Podobnie jak Twardowski ma w sobie coś diablego, mitycznego nawet, bo właściwa historia wie o nim bardzo niewiele, kiedy legenda wie bardzo dużo, więcej nawet niż było w istocie.

Gdy już dzisiaj niepodobnieństwo dochodzić, jakie anegdoty

i ekscesa przypisywane panu staroście były prawdziwe, a jakie zmyślone, bo niema swego historyografy, ani żyjącej osoby, coby go pamiętała, powziąłem zamiar zebrać autentyczne szczegóły jego żywota, o ile znalazły się w współczesnych świadectwach,

i dołączyć do nich te anegdoty i podania, jakie się przechowały w ustach i pismach.



MIKOŁAJ POTOCKI, STAROSTA KANIOWSKI.
(Cynkotyp J. Lewickiego, wykonany podług obrazu znajdującego się w kolekcji ks. Augustyanów we Lwowie.)

Mikołaj na Buczaczu Potocki, wojewodzie bełzki, starosta kaniowski, bohusławski, kawaler maltański, marszałek konfederacji barskiej; oto są tytuły, które



BUCZACZ, SIEDZIBA STAROSTY KANIOWSKIEGO.
(Rysował Elias w Krakowie, rytował Styli w Warszawie.)

przyniósł sobie wraz z urodzeniem, i które w ciągu życia otrzymał. Rok urodzenia jego nie jest ściśle oznaczony, jednak można go położyć około 1712. Ojcem Mikołaja był Stefan, wojewoda bełzki, matką Joanna Sieniawska, córka hetmana pol. kor. Zwycza-

jem ówczesnym oddany do konwiktu ks. jezuitów lwowskich, pobierał tam nauki, i jeżeliby można brać miarę z prac ogłoszonych pod jego imieniem, nie jadł darmo kaszy, bo chociaż nie widać w nich talentu, widać szkolną aplikację. Wszelako podejrzone bywają najczęściej podobne autorstwa szkolnych paniczków; aby się rodzicom przypochlebić, a na szkołę ściągnąć splendor, że autorskie geniusze wydaje, ozdabiano chudego pachółka szumnym imieniem senatorskiego synka, który sam nie wiedział, jak do autorskiego szczytu przychodził. Być może iż dwie książki bibliografom tylko znane, a pod nazwiskiem Mikołaja Potockiego, audytora retoryki ogłoszone, powstały tymże sposobem. Jedna z nich ma tytuł: *Dywertyment wesolo uczonych, po łacinie opisanych od ks. Jana Drewna S. J. dystrakcyi, dyskursem polskim odpowiedziany*, we Lwowie w drukarni Coll. Soc. Jes. r. 1731, 4to. Jest to geografia dedykowana matce autora-tłumacza, Joannie z Sieniawskich Potockiej. Druga nosi napis: *Sukcesya książąt i królów polskich, z partykularnemi rewolucjami, z łacińskiego języka na ojczysty, po pierwszych młodego wieku ewercytacyach, krótkim opisaniem skompendyowana*, we Lwowie w drukarni Soc. Jes. r. 1731 w 8ce, kart 42. Dedykowana Jakubowi Sobieskiemu, królewiczowi polskiemu.

Ktoby wziął do rąk te pisemka i chciał z nich robić wnioski o charakterze pisarza, zapewne nie znalazłby klucza do indywidualności onego; tyle jednak da się ztąd wyprowadzić, że jeżeli on był istotnym ich twórcą, umysłem jego miotała wczesna ambicja odznaczenia się, zyskania głośności, co również i później stało się pobudką do wstawienia się przez awantury, odpowiednie jego usposobieniu i bucie możnego pana. Dzieńcie rozległych i w najżyźniejszej podolskiej glebie położonych dóbr, jak Buczacze, Horodenka, Gołogóry, liczył się Mikołaj do majątniejszych panów rzplt.; zresztą zasługi przodków, wielkie imię, powinowactwo z pierwszymi domami, zapewniały mu pozycję w rzeczach publicznych. Obrany posłem, zasiadał na sejmie r. 1750, lecz zapewne niewiele radził, jak na wszystkich sejmach za ostatniego Sasa, zerwanych lub niedoszłych. Zdawało się że naród bał się dotknąć wewnętrznej naprawy rzplt., jak ów utracysz, co nie lubi zaglądać w podawane mu rachunki. Można przypuszczać, że w czasie sejmku konwokacyjnego trzymał się po stronie Potockich, gdyż później, przystąpiwszy do konfederacji barskiej, jeździł w poselstwie od generalności do dworu saskiego, wzywając królewicza Ksawerego na tron polski.

Wszakże, nie uzyskawszy nawet posłuchania na dworze drezdeńskim, powrócił z niczem. W r. 1769 widzimy go zawiązującego konfederację w ziemi lwowskiej. Przykład dała ziemia przemyska, skonfederowana pod łaską Franciszka Ksawerego Pułaskiego na d. 15 maja; we dwa tygodnie starosta kaniowski dokonał podobnego aktu w ziemi lwowskiej, kusząc się zaraz o zdobycie Lwowa, gdzie generał Korytowski, w przewidywaniu na co się zanosz, umocnił miasto silną załogą. Ciekawe o tym wypadku szczegóły czytać można w manifestie zanesionym przez Potockiego i innych marszałków konfederacji na dniu 8 czerwca do grodu bełz-

kiego, przeciw Janowi Kickiemu, ówczesnemu staroście lwowskiemu, za to że śmiało bronił Lwowa, jak niemniej przeciw generałowi Korytowskiemu. Przytaczam w treści ten dokument: „że gdy Pułaski starosta zuzilnicki, regimentarz konfederacji, posłał do Kic-

kiego trębacza i oficera, żądając kapitulacji i wolnego wejścia do Lwowa; zamiast posłuchania, kazał dać ognia, z którego trębacz poległ, a pod oficerem koń ubity. A teraz znów, gdy Dzierzbicki starosta wortelski z dwoma trębaczami i adjutantami żądał rozmowy i wpuszczenia do miasta, podobnie go nieprzyjęto. Dalej, że on z komendantem generałem Korytowskim zabrał się do odporu przeciw wojsku konfederatów z samą tylko jazdą złożonemu, tak dalece, że gdy od godziny ósmej z wieczora d. 1 czerwca zaczął się atak, aż do godz. 6ej z rana trwać musiał, z niejaką stratą ludzi z obu stron, a osobliwie konfederatów po trzykroć z wałów spędzonych. Że nakoniec Kicki przyszedł do tej rezolucji, iż wracających się od bramy krakowskiej konfederatów ścigając rzesistym z armat i z ręcznej strzelby ogniem, rozkazał puszkarzowi zapalić dworki naprzeciw jezuickiej furty będące, i tak wiele przez ten pożar domów ludzkich, oraz wieżę oo. karmelitów dawniej obserwacji, z niebezpieczeństwem klasztoru i kościoła z dymem puścił, do nieprzyjaciela aby go sukursował znać dawał i ściągnąć go usiłował. Imci księdza kapelana naszego, dla mszy św. na przedmieście idącego, zabrawszy, do miasta wprowadzonego na odwach do kordygardy wziąć kazał i przez dwa dni więził, w tym zaś areszcie wiele przykrości, ze zgorzeniem prawowiernych, temu kapelanowi robić dozwolono, nietylko od podrzędnych, ale i sam także pan Korytowski, wizytując uwięzionego, łajaniem go i urąganiem prześladował. Nakoniec i sam pan starosta lwowski, bluźniącemi św. religią usty, lajał i lżył kapelana, i gdyby nie zaszyły były poważne instancje godnych ziemianów, zapewneby go był dłuższem więzieniem umartwił. Także J. P. komendant ziemianów i obywatelów z konfederacją łączyć się usiłujących, więził i prześladował.

Manifest ten, wydający się dziś ze strony dość komicznej, bo obwiniający komendanta powierzonej sobie fortecy o to, że strzelał do napastników, nie miał wówczas tego znaczenia, z tej przyczyny, że konfederacja uważała się za władzę legalną, podobnie jak inne dawniejsze konfederacje. W tę samą zasadę uderzyła później i konfederacja targowicka.

Karpiński, naoczny świadek tego zamachu dla opowania Lwowa, tak opowiada to zdarzenie: „Byłem przytomny we Lwowie, kiedy do tego miasta, niby to fortecy, czterech marszałków konfederackich z wojskiem około czterechtyśiącym przyszło; chociaż tam nieprzyjaciela niebyło, ale komendant garnizonu generał Korytowski w kilkaset ludzi swoich oparł się tłuszczy niesformnej, i widzieliśmy go jednego poranku w szlafroku skutecznie odpierającego konfederatów, wpadających przez dziurę do miasta nieopatrzonego dobrze.“ Dosyć jest tych słów aby ocenić, jakie to były te zastępy konfederackie, kiedy siła czterechtyśiączna nie mogła podolać garstce zakrytej lichemi murami. Nie widać też żadnej energii i męstwa w uderzeniu na miasto; padł trębacz i koń, kilku ludzi odniosło blizny i odstąpiono od murów, aby w kilka dni napisać manifest w grodzie bełzkim! To nieszczęśliwe pojęcie legalności konfederacji napełniło wszystkie grody manifestami, ale sprawy na piędz nie posuwało.

O innych dziełach wojennych starosty kaniowskiego, nie doszło nicnaszej wiadomości. Najpewniej szukał on popisów na mniej niebezpiecznym polu i zaczął wojować ze słabszemi i bezbronnemi.

Karpiński pisze, a boję się czy nie przesadził, że starosta kaniowski uchodził za najokrutniejszego człowieka na Rusi, obwiniano go bowiem, że najmniej 40 ludzi ręką swą nazabijał. Liczba tych morderstw, tak przerażająca, byłaby niezawodnie poddała pod miecz głowę kaniowskiego, aczkolwiek taki bąk jak starosta z łatwością mógł przebić pajęczynę praw karnych. Karpiński, w duchu człowiek nowego czasu, stronnik reformy wychodzącej z partyi królewskiej, w przesadzonych kolorach maluje ekscesa partyi przeciwniej, do której kaniowski należał. Zresztą podania byłyby przechowały pamięć tych zbrodni, tak samo jak piosenka ruska przechowała ową historję o Bondarównie, której kazał wleźć na drzewo i udawać kukulkę, a potem do kukającej strzelił i zabił. Na karb tego morderstwa, niedowiedzonego jak inne, zrobiono go mężobójcą, a takim właściwie nie był. Charakter jego, skłonny do awantur często dowcipnych, częściej bolących, hulaszczy, rozpustny, był zdolnym tylko do takich nadużyć, co się załagodzić dają pieniędzmi. Wprawdzie i gardłowe sprawy dawały się nie-

kiedy tym sposobem załatwiać, nawet między równemi; lecz trudno przypuścić aby tyle zabójstw nie uzbroido nań ramienia sprawiedliwości, a przynajmniej nie wzburzyło opinii przeciw niemu. Wzmiankowali niektórzy że go skazano na banicyą, lecz gdyby tak było, z takim wyrokiem nie osiedlałby się w kraju; a przecież nigdzie nie ma o tem, żeby za granicę wyjeżdżał. Nakoniec, jak sądzę, do zamordowania kogoś *własną ręką*, sposobem nieskrytobójczym, potrzeba mieć więcej odwagi, jak miał kaniowski. Przy ataku na Lwów nie dowiódł tego animuszu, a i w różnych przygodach jakie o nim opowiadają, widno że był podszyty tchórzem, ilekroć nie miał na zawołanie czeready dworskich kozaków.

Główną jego rezydencyą był Buczac, miasteczko uroczo położone w jarze podolskim nad Strypą. Kilka kościołów, klasztor bazyliński, ratusz, zamek jeden pod miastem, drugi w bliskości zwany Podzameczek, okolica najromantyczniejsza, a obfita jak Egipt. Zdawałoby się że wpływ miejsc tak rozkosznych powinien był uszlachetnić dziką naturę pana starosty, lecz widać że zmysł poznania się na tego rodzaju pięknościach nie każdemu jest dany. Buczacki więc zamek był widownią pijatyk, gwałtów, rozpusty, hucznych bankietów i krotocwil wyprawianych kosztem biédaków, co mieli nieszczęście popaść w ręce pana starosty. Jeżeli taki był żywot domowy, jakąż rolę odgrywała małżonka? Czy dotrzymywała pola humorowi swego męża? Bo jak wiemy, kaniowski miał żonę Maryą Annę Dąbrowską, stolnikównę haličką, osobę piękną, dobrą, pobożną. Szczegóły tego ożenienia są mi nieznane, to tylko słyszałem, zwidzając Buczac, że ów w ruinie dziś będący Podzameczek, był mieszkaniem pani Potockiej, kiedy sam starosta w buczańskim siedział zamku. Pożycie z małżonkiem niedługo musiało być znośnym, kiedy się zamknęła w ustroniu; a i to ustronie było zbyt blisko i nie chroniącém od mężowskiej tyranii, gdy jak mówi Karpiński, ta kobieta najpiękniejsza i grzeczna schroniła się do szp. karmelitanek lwowskich, czekając niby rozwodu. Czytałem kiedyś ustęp o kaniowskim, wyjęty z pamiętników pisanych przez jakiegoś Cieszkowskiego, gdzie szeroko i długo a równie fałszywie, podana jest historia o tej żonie Mikołaja Potockiego, jakoby Józef hr. Gozdzi wziął ją pod swoją opiekę, prowadził rozwodowy proces i w końcu z nią się ożenił. Tak nie było, najlepszym świadectwem jest nagrobek tej pani, jako Potockiej, starościny kaniowskiej, zmarłej 23 stycznia 1783 r., znajdujący się w kościele oo. franciszkanów we Lwowie; Gozdzi zaś o którym tu mowa, był starostą brzezińskim, ożeniony 1mo voto z Humiecką, 2o voto z Małachowską starościanką oświęcimską. Tym sposobem wszystkie te awantury z Gozdzkim, te napady i pojedynki opisane w owym pamiętniku, zdają się być zmyślone.

Było coś oryginalnie fantastycznego w tej zaważyckiej postaci pana starosty, kiedy na niego łasztem kładziono wszystkie ekscesa jakie się wówczas gdziekolwiek zdarzały. Ku nowym formom skłaniające się wyobrażenia narodu, zrobiły go typem wyuzdanej, możnowładczej wolności, aby tem większą wzbudzić ku nię odrazę.

Do najlepszych stron tego dziwaka należy policzyć cnotę pobożności, czy pochodzącą z wewnętrznej trwogi o swoje zbawienie, czy z głębokiego przekonania, w to nie wchodzę, dość że zakładał klasztory, robił fundusze edukacyjne, przez co ułatwiał kształcenie się młodzieży, i zostawiał w kraju trwałe a pożyteczne instytucje. I tak jego fundacyi są szkoły u dominikanów we Lwowie, niemniej u bazylianów w Buczaczu i Poczajowie. Własnym też nakładem wybudował wspaniały ratusz w Buczaczu, tamże kościół łaciński parafialny i monasterek bazyliński; we Lwowie piękną kaplicę u dominikanów, wschodnie skrzydło dominikańskiego klasztoru w Podkaminieniu, klasztor dla misjonarzy w Horodence, a nakoniec wspaniały monaster bazyliński w Poczajowie.

Tyle fundacyj tak użytecznych ludziom, a tak Bogu przyjemnych, mogło okupić jego winy, a przynajmniej zmasać je w ludzkiej pamięci, kiedy ta zatrzymała tylko głośne psoty, dokuczliwe, rubaszne, lecz i jowialne czasami.

Karpiński, jedyny jego historyograf, sprowadzenie misjonarzy do Horodenki i założenie dla nich klasztoru tak opowiada: „Do Horodenki, miasta swojego przy granicy wołoskiej, sprowadził misjonarzy,

którym 30.000 intraty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspaniały tamże dla nich murować rozpoczął. Przyszła tymczasem spowiedź wielkanocna, i spowiadając się Potocki, do ks. misjonarza Zabłockiego przystąpił. Zaczny ten kapłan, po wysłuchaniu grzechów, absolucyi pacyentowi dać nie chciał, dodając że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorzenia przed przeszłemi spowiedziami popełniał, a poprawy żadnej nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. Zawstydzony i rozgniewany despotą, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany rozwałać kazał, zapisy skasować postanowił; a tymczasem poczciwi księża, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny, za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wychodzili. Na widok ten smutny patrzył przez okno tyran, i serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół rozwałać zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie absolwowany od bazylianów, ruski obrządek przyjął i ten do śmierci zachowywał. Misjonarzom jednak kazał dokończyć kościół i do funduszu pierwiastkowego jeszcze coś przyczynił.“

Zachodzącemu w lata starości, w miarę jak ubywała krewkość, budziło się w sumieniu uczucie licznych win i grzechów, które gdy nie znalazły u misjonarskiego kapłana odpuszczenia, trzeba było zmasać głośną pokutą. Skutkiem tego wewnętrznego postanowienia, puścił starostwo kaniowskie synowcowi stryjecznemu, Janowi Potockiemu, synowi Józefa kasztelana lwowskiego, staroście czorsztyńskiemu. Toż i z innymi dobrami uczynił, legując je za życia Potockim. Znajdujemy także wzmiankę w pamiętnikach Karpińskiego, że książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, jeździł mu dziękować za przekazaną sobie przez niego całą sukcesyą spadłą na Potockiego po ostatniej Opalińskiej. Rozdawszy dobra, pojechał do Poczajowa, gdzie w miejsce dawnego, wybudował piękny kościół bazylianom, opatrzył ich funduszami, a sam sobie wystawiwszy dworek na dziedzińcu klasztornym, osiadł na dewocyi. Ale i tu nie opuszczała go dawna fantazyja. Pan starosta trzymał kilka dziełek do posługi, z którymi rano i wieczór różaniec odmawiał; jeżeli zaś która w czasie tej modlitwy rozsmiała się lub usnęła, cybuchem po plecach ćwiczył, ażeby jak mówił pana Boga nie obrażała. W tem życiu na pół zakonnem przeżył ostatnich lat kilka. Zmarł w Poczajowie d. 15 czerwca 1782 r., pochowany w krypcie monasteru, gdzie ciało jego zapewne dotąd leży. Zwidzając przed laty ten monaster, odwiedziłem i pana kaniowskiego, przyłączywszy się do wieśniaków, którzy mają sobie za religijny obowiązek po mszy udawać się do krypty i tam oddając cześć relikwiom świętym, z dobroci serca oddawać podobnyż hołd panu staroście. Nie wiem czy to żart, czy prawda, lecz słyszałem że księża co rok muszą panu staroście sprząć nowe buty, bo chociaż po śmierci nie chodzi, ale ci co do niego chodzą, draż mu takowe pocałowaniem.

Z współczesnych pism niewiele mogłem powziąć o nim wiadomości; w jednym tylko wierszu satyrycznym: *Konfederacya barska*, gdzie są odmalowane niektóre charaktery rej wodzące w konfederacyi, natrafiam na taką o nim wzmiankę:

Jest także tam starosta kaniowski, ów stary,
Który będąc za zbrodni wiecznej pewien kary,
Zarliwym w monasterze został był dewotem;
Lecz wejrzawszy w swe sprawy trochę lepiej potem,
Zmiarkował że modlitwą win swoich nie zgładzi,
Męczennikiem chce zostać, sumienie mu radzi.

Pokazywałoby się z tego wiersza, że pan starosta jeszcze przed rozpoczęciem konfederacyi barskiej szukał pociechy duchownej, czemu bardzo wierzę, gdyż w osobliwszym tym człowieku łączyła się pobożność z wybuchami gwałtownych passyj i kaprysami buty magnackiej. Nie był to zatem zatwardziały grzesznik, kiedy za popełnione winy żałował i pokutował, owszem w różnych anegdotach o nim widziemy go często hojnie wynagradzającego swoje porywcość lub pociąg do płatania bolesnych figlów. Znali to ludzie do niego, i kiedy w pewnym miasteczku, do którego pan starosta dwornie wjechał, jakiś szlachcic zastąpił mu w bramie i junacko nie chciał wpuszczać do jedyniej gospody, starosta zmiarkował figiel, a że natenczas wyzuł się z dóbr i pokutował, odrzekł po rusku, którym to dyalektem zawsze mówił: „wybaczaj-

te pane brate, nema hroszy, nebudu bity.“ Szlachcic ustąpił, i dopiero w poufnej rozmowie przyznał się Potockiemu, że będąc w potrzebie, chciał go wyciągnąć na basarunek. Potocki dopomógł mu natychmiast znacznym datkiem.

Oto jest żywot pana starosty kaniowskiego w dokładniejszych szczegółach, lubo zawsze niezupełny. Co do samej osoby, była ona mniej więcej w harmonii z postępkami. Karpiński powierzchowność kaniowskiego skreślił w kilku wyrazach: „oczy jego najdziksze, wzrost i mowa olbrzymia, wstręt do niego czyniły.“ Na kilku portretach jakie widziałem nie wydaje się tak olbrzymiego wzrostu; znać tylko barczystego mężczyznę, z pochmurnym wzrokiem i wyrazem twarzy nietyle srogim i okrutnym, ile zaważającym, grubiańskim. Zwierzęce chuci panowały sobie wygodnie w tém cielem, chociaż czoło nie jest bez inteligencji, a oko bez dowcipu. Wiedział to isam kaniowski do siebie, bo gdy mu powiadano, że Potocki starosta śniatyński, straciwszy majątek, zaczął go nadsładować w wybrykach i awanturach, odpowiedział: „i do duroty rozumu treba“ (i na głupstwa potrzeba mieć rozum). W rzeczy samej niektóre jego awanturki noszą cechę wybornego dowcipu; możnaby je nazwać dowcipem własnego chowu, dowcipem nie w słowach, lecz w akcji. (Dokończ. nast.)

SPRAWOZDANIE

Z POSTĘPU NAUK PRZYRODZONYCH, PRZEMYSŁU I WYNAŁAZKÓW.

Najważniejszą nowością jest w téj chwili zgodna decyzja najznakomitszych astronomów, że Merkury nie jest najbliższą słońca planetą, i że w przestrzeni między nim a słońcem krążą jeszcze inne drobne, i nieznane nam dotąd planety, a przynajmniej jedna, której byt już nie ulega wątpliwości, chociaż jeszcze nie mamy ściśle obliczonego jej biegu, to jest czasu obrotu około słońca, odległości od niego i miąższości samejże planety, która nawet dotąd nie otrzymała stanowczego nazwania. Dla bliskości jej względem straszliwego ognia słonecznego, zaproponowano nazwać ją *Wulkanem*, trzymając się systemu, który z mitologii starożytnej wybrał nazwiska dla planet naszego słońca; niektórzy uczeni chcą unieśmiertliwić nazwisko obserwatora, który tę planetę odkrył i pierwsze mniej więcej dokładne szczegóły o niej podał. A rzecz dziwna, tym szczęśliwym odkrywcą nie jest żaden z urzędowych astronomów, ale doktor z Orgères (dep. Eure et Loire) p. Lescarbault, astronom *in partibus*, to jest amator, ale jak się pokazuje człowiek pełen zapału dla ulubionej swojej nauki, gorliwy, pracowity, a co najdziwniejsza, tak skromny, że przez dziewięć miesięcy nie wspominał nikomu o swoim odkryciu, chcąc je pierwój ile możności kilkakrotnymi spostrzeżeniami sprawdzić.

Dopiero kiedy uczony dyrektor obserwatorium paryżkiego p. Leverrier, robiąc nowe obliczenia drogi Merkurego i zawichrzeń jakim ona ulega w skutku działania innych znanych planet, przekonał się, że między teorią a rzeczywistością zachodzi różnica przeszło pół minuty łuku, oświadczył wtedy że ta różnica nie może pochodzić z żadnej innej przyczyny, jak tylko z bytności planety lub grupy planet między Merkuryuszem i słońcem. Gdy w skutku tego wyrzeczenia wszyscy astronomowie, znając z dawniejszych doświadczeń jak cudownie trafne są rachunki p. Leverrier, (który przed kilkunastu laty samém tylko obliczeniem odkrył bytność *Neptuna* i wskazał okolicę nieba, w której w danéj chwili musi się znajdować) rzucili się do szukania zapowiedzianej przysłonecznej planety, chciwi chwały z odkrycia jej drogi i innych stosunków, — wtedy p. Lescarbault zdecydował się dopiero posłać p. Leverrier swoje od roku 1857 robione spostrzeżenia i notatki, co do obiegu, odległości i wielkości planety, której się pan Leverrier domyślał. Pan Leverrier znalazł notatki pana Lescarbault tak dokładnie i zgodnie z nauką prowadzoną, jego graficzne przedstawienie drogi nowej planety tak odpowiedniém swoim własnym przypuszczeniom, że zamiast odpowiedzi na list doktora-astronoma, sam do niego pojechał i zaskoczył go niespodzianie wśród nowych obserwacji.

Doktor Lescarbault sam sobie urządził małe ob-

serwatorium, sam zbudował lunety i inne narzędzia, których do swoich postrzeżeń używa. Wszystkie spostrzeżenia szanownego doktora zostały sprawdzone najściślejszym rachunkiem i okazało się, że pomimo niedość dokładnych narzędzi, p. Lescarbault nie popełnił prawie żadnego błędu w obliczeniach, i że odkryta przez niego planeta jest 17 razy mniejszą niż Merkury, obiega około słońca w 19 dniach i 7 godzinach, a odległość jej od słońca wynosi 0,143, biorąc odległość ziemi za jedność. Ponieważ ta planeta, z powodu małej średnicy swojej drogi, nigdy nie oddala się od słońca więcej jak na 8 stopni, a światło jej daleko jest słabsze niż Merkurego, nic dziwnego przeto, że jej dotąd nie dostrzeżono, a jeżeli kto postrzegł ją w chwili jej przechodzenia przez tarczę słońca, to mógł ten czarny punkt, który ona na jego tarczy przedstawia, wziąć za jedną z licznych plam ukazujących się i znikających na powierzchni słońca.

P. Leverrier przedstawił cesarzowi Francuzów nader pochlebny raport o pracach i zasługach zanego doktora, i cesarz mianował go kawalerem legii honorowej. Doktorzy paryżcy zamierzali wyprawić dla swego kolegi świetną ucztę składkową, na którą go zaprosili; ale skromny lekarz małego miasteczka wymówił się od tego zaszczytu brakiem czasu, który zaledwie mu wystarcza dla jego chorych i postrzeżeń astronomicznych, a fundusz z owéj składki podobno ma być użyty na kupienie pięknego i dokładnego teleskopu, który ułatwi p. Lescarbault dalsze badanie sklepienia niebieskiego.

Niektórzy uczeni żądają, aby owa planeta otrzymała nazwisko swego wynalazcy, i byłoby to bardzo słusznie, gdyby się temu zadawniony zwyczaj nie sprzeciwiał. Wiemy że *Uran*, odkryty przez sławnego Herszela, przez wielu autorów uporczywie nazywany był *Herszelem*, ale mimo to nazwa mitologiczna przemogła i utrzymała się w nauce.

Podczas gdy doktor medycyny wślwił się odkryciem astronomiczném, wicehrabia de Lepassee, dawny dyplomata, człowiek wielkiego świata, nieco oryginalny, ale najzupełniej nielekarz, zapragnął sławy w historii sztuki lekarskiej i napisał dzieło pod tytułem: *Essais sur la conservation de la vie*.

Wbrew zasadzie: najprzód postrzeżenia, a następnie teoria, autor osądził że jedynie przez syntezę może osiągnąć cel który sobie założył, to jest zgłębić sztukę leczenia i zreformować ją. Przebiegł prawie całą Europę, szperając w pyle rozmaitych bibliotek, najbardziej zapomnianych foliów, najniepozorniejszych rękopismów, i starając się zgłębić ich tajemnice. Postępując w tym pracowitym zawodzie, wspierany był nadzieją odkrycia prawd użytecznych; zwolna chmury się rozsuwały, widok się rozjaśniał i pokazał mu część przynajmniej tajemnicy życia.

Nakoniec te utrudzające badania zostały wynagrodzone, dzięki Boskiemu Mistrzowi, który powiedział: *szukajcie a znajdziecie!*

Pan de Lepassee dotyka w swoim dziele następujących przedmiotów: początki sztuki lekarskiej; rozmaite szkoły; starożytność najnowszych naszych odkryć; kabalistyka, magia, wielkie prace alchemii, stopień naturalny życia przed i po potopie; racjonalne pożywienie dla ludzi; ćwiczenia ciała; homeopatya; magnetyzm, tlen (kwasoród) i inne czynniki, uważane jako środki przedłużenia życia; natura istoty człowieka; siła żywotna zdolna przyjąć na swój użytek inne odpowiednie siły; starość, odmłodnienie (słuchajcie!), długość życia; nakoniec instytucje polityczne.

Pan de Lepassee kładzie za zasadę, że dzisiejsza długość życia ludzkiego o wiele jest niższą niż być powinna. Już w r. 1845 zwrócił on na tę okoliczność uwagę uczonego świata, uprzedził zatem na dziesięć lat przeszło dzieło znakomitego i słynnego pana Flourens, który usiłował dowieść anatomicznie, fizyologicznie i poetycznie, że z prawa życia człowieka wykazuje się jako średnia jego miara 150 do 200 lat. Pokazuje się teraz, że to wielkie odkrycie p. Flourens na dziesięć lat pierwój zrobione zostało przez kogo innego.

W r. 1858, to jest jeszcze później, p. Edward Robin wydał dzieło w tym samym przedmiocie. P. Flourens dowodził tylko że człowiek powinien żyć 200 lat, o czém każdy radby się na sobie przekonać, ale nie podawał na to żadnego sposobu. Jego nowy współzawodnik, śmielszy od niego, proponuje meto-

dę, za którą zostawiamy mu całą odpowiedzialność. Przekonany że długowieczność ludzi jedynie tamowaną jest przez inkrustacyę tkanek (osadzanie się obcych części w tkance komórkowej naszego ciała), p. Ed. Robin radzi pewne rozczynniki chemiczne, mogące oprzeć się téj inkrustacyi. P. de Lepassee, jeszcze bardziej przedsiębiorczy, (w sztuce przedłużenia życia) przedstawia najzupełniejszą terapię w tym względzie. Jego książka obejmuje 83 recept, po największej części bardzo powikłanych; jedna z nich na przykład składa się z 23 różnorodnych części; niektóre z nich są nowe, inne wypisane z dzieł szkoły salerneńskiej, a wszystkie przejęte wonią średnich wieków. Autor w przedmowie zapowiada, że w jego dziele znajduje się *elixir Cagliostro, proszek długiego życia szkoły alchemicznej, a nawet kilka nowych sposobów wywołania jasnowidzenia magnetycznego*. Nie dziwny się zatem, jeśli formularz recept p. de Lepassee nie jest podobnym do formularza fakultetu.

Dwoma lekarstwami do których uczony reformator zdaje się przywiązywać najwięcej wagi, są *napój złoty* (aurum potabile) i *mózgan złota* (cerebras auri). Ten ostatni, jak p. de Lepassee zapewnia, dawał mu prawie cudowne skutki.

Nie jeden chemik zapyta się zapewne, co to jest mózgan złota? czy to ma być połączenie materii mózgowéj, działającej jako kwas *mózgowy*, *mózgnicy* albo *mózgny*, z niedokwasem vel tlenkiem złota? Nie jeden wystąpi może z stanowczém zdaniem, że mózgan nie jest ani alkali, ani kwasem, nawet wtenczas kiedy się przewróci albo pomiesza....

Oto odpowiedź p. de Lepassee:

Mózgan składa się z tych samych pierwiastków chemicznych, co inne kwasy organiczne już znane; zresztą potrzeba było jakiegobądź nazwania dla tego środka tak potężnie działającego na głowę, i *mózgan* tak jest dobry, jak niejedna inna nazwa; nakoniec p. Lepassee nie porozumiał się jeszcze z nowém towarzystwem, które ma kiedyś ułożyć powszechną terminologią chemiczną.

P. de Lepassee nie przypuszcza aby istniała jakakolwiek słabość *nieuleczona*. „Utrzymywac że w człowieku istnieje jakaś siła przeciwna i silniejsza niż technienie Boże które mu daje życie, jest to frazes filozoficzny, wychodzący prawie na zdanie że życie nie jest życiem.“ Autor kilkakrotnie odzywa się w podobny sposób i podaje recepty mające nieomylnie pomyślny skutek przynosić w najcięższych słabościach.

W całym dziele p. de Lepassee walczy zacięciem ale grzecznie przeciw *organizmowi*. W fizyologii, według niego, *siły i dusza* stanowią wszystko, wszystkiém władają. Naturalnie że według tego założenia, teorie tych, którzy jak Cabanis, Gall, Spurzheim i t. p. szukają przyczyn namiętności gdzieindziej, są niedorzecznością. Według p. de Lepassee dusza jest swobodną, potrzebuje tylko chcieć.

W patologii organa nie mają także żadnej ważności; grzech spowodował chorobę i śmierć, bo prawa moralne są to siły wyższego rodzaju, niż te które władają materją. Ta sama przyczyna, to jest grzech, według p. de Lepassee wielką gra rolę w olbrzymich katastrofach wszechświata. Między Jowiszem i Marsem krążyła pewna planeta; ta planeta została zniszczoną przed kilkadziesiątu zaledwie wiekami, jak nas upewnia p. Leverrier. Nie można zaprzeczyć temu faktowi, bezzwalenia zasad nauki astronomii; ale jakże go pogodzić z niezachwianém prawem ciężenia, z harmonią prawa spójności, powinowactwa, które utrzymywały między sobą cząstki składowe téj planety? Tymczasem fakt ten najdokładniej tłumaczy się przypuszczeniem *potrzeby moralnej* jakiegoś wielkiego aktu *sprawiedliwości i kary*. Prawo wyższego rzędu przemogło nad prawem fizycznym.

Organizm nakoniec i w terapii nie ma większego znaczenia niż w fizyologii i patologii. W razach nawet uszkodzenia czysto materialnego, gdzie łatwo przystąpić do chorego organu, p. de Lepassee leczy jedynie wzmacniając siły żywotne.

Co do tego punktu teoria p. de Lepassee niezupełnie jest nową; znamy ludzi pod innym względem światłych, którzy oparzywszy sobie rękę albo złamawszy nogę, nie opatrują uszkodzonej części ciała, tylko biorą Leroy albo pigułki morysońskie, pomijając nawet owego adepta, który uciąwszy sobie palce u nogi siekiérą, obwinał nogę suchym kawałkiem płótna, a na żelazo siekiery przyłożył plaster gojący.

(Dokończenie w Dodatku.)

HISTORIA JEDYNACZKI W 22 OBRAZKACH.

Ułożył i rysował F. Kostrzewski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.



Nr. 1.
Papa zostaje zawiedziony w nadziei otrzymania sukcesora



Nr. 2.
Rodzice, chcąc ułatwić wyrznanie się ząbków, karmią Bibcię cukierkami.



Nr. 3.
Pierwsza sznurówka i pierwsza krynolina.



Nr. 4.
Bibcia w Saskim ogrodzie zachwyca przechodniów.

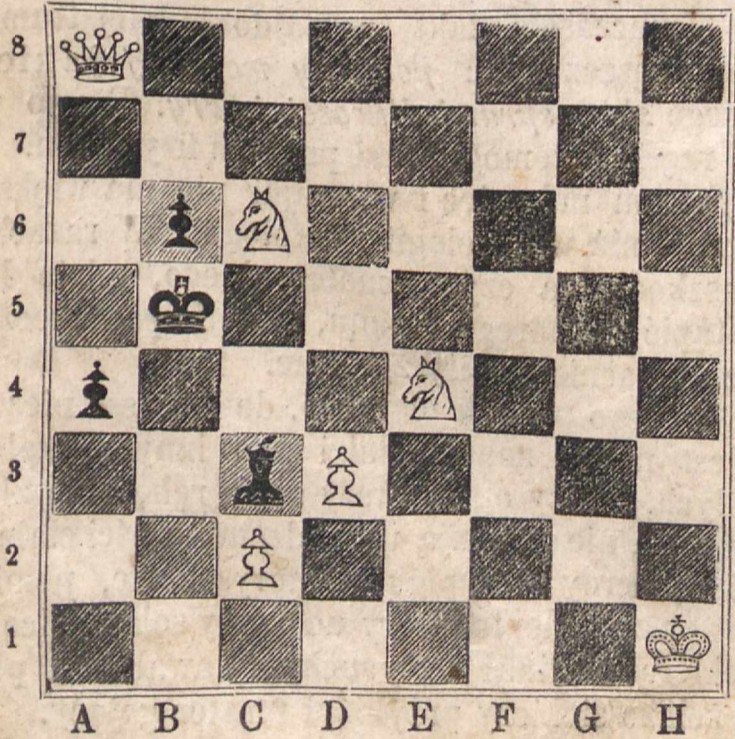
SZACHY.

ZADANIE XVIII.

(A. Petrow).

Białe zaczynają i dają matę za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.



Nr. 5.
Ośmioletnia jedynaczka bierze udział w koncercie na Instytutu moralnie zaniedbanych chłopców.
(Dalszy ciąg nastąpi.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 23.
Ostrożność a sekret, dusza to i cecha dyplomaty.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 17.

Białe.

Czarne.

- | | |
|--------------------|-------------------|
| 1) D5 — C5 | 1) A4 — A5 bierze |
| 2) F1 — D3 | 2) A5 — A4 |
| 3) A8 — B6† | 3) A4 — A5 |
| 4) D3 — C2 | 4) B3 — C2 bierze |
| 5) B2 — B4† i mat. | |

(Dodatek).

Dzieło p. de Lapasse kończy się kilku wierszami, które tu dosłownie przytoczymy, bo one pokazują jak chwalebne uczucia uświęcają opinie naukowe autora.

„Zegnając moich czytelników, szczerze żałuję że nie mogę zakończyć mego dzieła pobożnym wezwaniem, jakim byłbym je zakończył, gdybym pisał przed dwoma lub trzema wiekami. Ówczesni adepti nie zaniedbywali nigdy kończąc swoje prace polecać je opiece i łasce Ducha świętego, Najświętszej Matki Zbawiciela, wstawieniu się aniołów i świętych opiekunów i dziękować Bogu że im dozwolił dokończyć szczęśliwie dzieła. Dziś taka niezwykła forma nie byłaby przyjęta jak należy. Pozostaną zatem przy zwyczajach teraźniejszej epoki i polecę się tylko względności krytyków.“

PO NASZEMU,

KOMEDIA W DWÓCH AKTACH, WIERSZEM.

NAPISAŁ

Zygmunt Hlebicki-Józefowicz.

OSOBY:

PAN MAJOR.
HANNA, jego córka.
CIOTKA, siostra majora.
PAN ALFRED z Buczyny, } sąsiedzi majora.
PAN WACŁAW z Zalesia, }
DYLCZEWSKA, klucznica majora, dawna piastunka Hanny.
JAKUB, były sierżant, totumfacki majora.
SŁUŻĄCY majora.

(Rzecz dzieje się na wsi, w dobrach majora, w 1859 roku.)

AKT PIĘRWSZY.

Pokój w domu majora, eleganckie lecz niezbyt wygodne umeblowanie; w głębi fortepian, drzwi na lewo, na prawo i w głębi. Major siedzi przed stolikiem i pali fajkę (surdut albo czamarka zapięta pod szyję z wystążeczką), przed nim Jakub, także opięty, stoi wyprzedzony.

SCENA PIĘRWSZA.

MAJOR, JAKUB.

JAKUB.

Stawam po służbie, panie majorze —

MAJOR.

Mości sierżancie, cóż tam na dworze?

JAKUB.

Podług rozkazu, piękna pogoda.

MAJOR.

A gospodarka jak idzie — składnie?

JAKUB.

Ta co choruje jałoszka młoda,
Podług rozkazu, pewnie dziś padnie.

MAJOR.

Do stu kartaczy! to źle sierżancie.

JAKUB.

Podług rozkazu, źle komendancie.

MAJOR (po chwili).

Ha! i cóż robić? — gdy Boża wola.
A czyś już dzisiaj objechał pola?

JAKUB.

Podług rozkazu, panie majorze.

MAJOR.

A ileż plugów tam dzisiaj orze?

JAKUB.

Osiem.

MAJOR.

To mało. Iluż u żniwa
Dzisiaj gromady?

JAKUB.

Ha, jak to bywa,

Do stu głów liczy infanterya,
I nieźle wcale z sierpem się zwija,
A kosynierów z dziesięciu będzie.
Podług rozkazu, ja przy komendzie.

MAJOR.

No dzisiaj waszeć porzuć komendę,
Bo potrzebować cię tutaj będę.

JAKUB.

Na ordynansie, podług rozkazu?

MAJOR.

O! mądra głowa, pojął od razu,
No słuchaj!...

JAKUB.

Podług rozkazu, słyszę.

MAJOR.

I niech mi waszeć się dziś popisie.
Owóż więc tedy, dziś będą goście,
A gdy przyjadą ci jegomoście,

Te dwa młodziki co tu bywają,
Niech zaraz bramy pozamykają.
Odpowiedzialność waść bierzesz srogą,
By nie wypuścić już ztąd nikogo,
Choć będą grozić, choć będą prosić.

JAKUB.

Więc w obłężenia stanie ogłosić,
Podług rozkazu, jak tam w Madrycie?

MAJOR.

No tak — rozumiesz — a należycie
Wszystko zrób; niechaj nikt się nie waży
Wyjść ztąd — ty będziesz dowódcą straży.
W walnej ci dzisiaj ufam potrzebie.

JAKUB (prostując się).

Podług rozkazu, ręczę za siebie.

MAJOR (dając list).

Ponieważ bardzo twój rozum cenię,
Jeszcze ci inne dam polecenie.
Ot masz tę kartkę, gdy się otworzy
To okno całe, waść kartkę złoży
W ręce Macieja, by mnie oddano,
Jakoby list ten do mnie przysłano
Z Górzyska.

JAKUB.

To list przejęty niby

Na jakim szpiegu, od przedniej straży?

MAJOR.

Otóż i wszystkie moje rozkazy.
Proszę wypełnić bez żadnej chyby,
By się udały moje zamiary.
No — a teraz: zwrot — i marsz! mój stary.

(Jakub wychodzi).

SCENA DRUGA.

MAJOR (sam).

Dzielny to wiarus z mego Jakuba,
Z jego pomocą uda się próba,
Co niespodzianie dzisiaj uderzy
W dwie główne wady naszej młodzieży.
Dzisiaj, niestety, już to rzecz znana,
Młodzież zanadto wyrachowana,
I lubi złoto trochę za wiele;
Przytém, choć pewnie że jest odważna,
Ale zanadto jakoś poważna,
I choć w niej jeszcze krew nie zakrzepła,
Boż to to krew nasza — lecz powiem śmieie,
Że serdecznego braknie im ciepła.
Zimno kochają, zimno się biją,
Zimno hulają, na zimno piją,
Nawet obelgę przyjmują chłodnie;
Może to wszystko być bardzo modnie,
I po angielsku, i po niemiecku,
Lecz nie po polsku, nie po szlachecku!
Otóż więc ciekaw jestem tój próby
Co do dzielności, co do rachuby.
Dzisiaj obydwaj wyjadą w szranki,
Pokażą przecież i mnie staremu,
Który z nich więcej wart mojej Hanny,
W którym z nich zagra krew po naszymu.

SCENA TRZECIA.

MAJOR, HANNA I DYLCZEWSKA.

HANNA (całując w rękę ojca).

Dzień dobry ojczu.

MAJOR (całując ją w czoło).

A mościa pannol

Waćpanna jesteś nie bardzo ranna,
Kiedy dopiero tak późno wstajesz.

DYLCZEWSKA

(mówi zawsze pędkiem, ruszając rękoma i ramionami).

Już też jegomość zawsze ją łajesz!

HANNA.

Oho! mój ojczu, gdzieś dziś nie była:
Byłam w ogrodzie, kwiatkim sadziła,
I na folwarku, i przy mléczywie.

MAJOR.

A no, témbardziej temu się dziwię;
Musiała panna bardzo przeskrobać,
Kiedy tak gwałtem chce się podobać.

DYLCZEWSKA.

Już też jegomość nie mów ni słowa.
Miała przeskrobać moja królowa!
Jezus Marya! już też na końcu
Chcecie wynaleźć plamy na słońcu!

(rusza ramionami).

MAJOR.

A to tegiego masz adwokata,
Co mu jak w młynie jęczyczek lata.

DYLCZEWSKA.

Tak to? jęczyczek? dobrze, nie powiem,
Kiedy pan taki na mnie łaskawy.

MAJOR (z uśmiechem).

Moja Dylczesiu — może się dowiem,
Bom ja, mosanie, strasznie ciekawy.

DYLCZEWSKA.

Otóż za karę będę milczała...

(po chwili)

Jezus Marya! historia cała!
Cztéry siwosze, krakus na koźle,
I w bardzo ładnym powozie...

MAJOR (przerywając).

O źle!

Jakichciś pewno widziałaś gości.

DYLCZEWSKA.

Wcale nie gości do jegomości,
Ale kawaler jechał do panny.

MAJOR.

Jakiś kawaler do mojej Hanny?
Gdzieżeś widziała?

DYLCZEWSKA.

Otóż że we śnie.

MAJOR (śmiejąc się).

A czemuż tego nie mówisz wcześniej?
A jam już myślał że to gach nowy.

DYLCZEWSKA.

Śmieć się jegomość — ot mądre głowy!
A snom pocziwym nie dają wiary.

MAJOR.

Bo żeby wierzyć, jam już za stary.
Lecz kto się wyśnił powie Dylczesia?

DYLCZEWSKA.

Ot kto się wyśnił — ten pan z Zalesia.
Jezus Marya! jak żywy prawie,
A taki ładny jak i na jawie.

MAJOR (patrzac na Hannę).

A mościa panno — do stu kartaczy!
Cała w rumieńcach — co to się znaczy?

DYLCZEWSKA.

Jezus Marya! ot nieboraczka,
Już na wspomnienie upiekła raczka.
I cóż dziwnego? lubią się młodzi.

MAJOR (całując w czoło Hannę).

No moja Hanno, nie to nie szkodzi,
Ale zawczasie nie oddaj serca,
Aż przy ołtarzu, aż u kobierca.
I jam dla ciebie nie jest Herodem,
Lecz nigdy nie łów ryb przed niewodem.

DYLCZEWSKA.

Ryb przed niewodem? ja powiem panie:
Co mi się wyśni, to się i stanie;
I to być musi, co już sądzono,
Że Handzia będzie Waćława żoną.

HANNA (śmiejąc się).

Ależ Dylczesiu, dajże już pokój,
I ze snów swoich mnie nie prorokuj.

(Drzwi się otwierają, wchodzi ciotka z pretensją ubrana i przymrużając oczy.
Dylczewska wychodzi.)

SCENA CZWARTA.

MAJOR, HANNA I CIOTKA.

CIOTKA (całując Hannę w czoło).

Dzień dobry Handziu, (do majora) dzień dobry bracie.

MAJOR.

A, pani siostra, jakże się macie?
Czy dzisiaj zdrowszą jesteście?

CIOTKA.

Dziękuję,

Tak, w samą rzecz, lepiej się czuję.

MAJOR.

Dobrze się stało z zdrowiem jójności,
Bo dzisiaj będziem tutaj mieć gości;
Alfred i Waćław przyjadą oba.

CIOTKA.

Ach, jakże mi się Alfred podoba!
Jakiż on miły, a jaki grzeczny!
I wiesz co Handziu, że niebezpieczny.

HANNA (śmiejąc się).

Ja go się jednak niebardzo boję.

CIOTKA.

Lecz go pokocha serduszko twoje,
Przecież jest miły.

HANNA.

Na to przystaję.

CIOTKA.

Dowcipny.

HANNA.

Niby.

CIOTKA.

Przystojny, młody,
Très comme il faut.

HANNA.

To mu przyznaję.

CIOTKA.

Podług najświeższej ubrany mody...

MAJOR (przerzywa):

Więc podług siostry i dobrodziki,
Że ktoś angielskie ma kołnierzyki,
To już dla Hanny wyborynym mężem?
Więc pocóż tyle czasu mitrężem?
Niech piérwszy lepszy się nam nawinie,
Marsz! marsz! do ślubu w téjże godzinie.

(po chwili)

Ale innego ja szukam zięcia,
Nie chcę tytułów hrabięgo, księcia,
Ale téż nie chcę ani Anglika,
Ani Niemczyka, ani fircyka,
Ale Polaka, do stu kartaczy!
Jeśli nie znaję, to wolę raczój,
Niech Handzia umrze już panną starą,
Niżby modnisią miała być parą.

CIOTKA.

Zanadtoś żywy, bracie kochany,
I na Alfreda dziś zagniewany.
Bronić go nie mam chęci ni prawa,
Kiedy ty chwaliś pana Waclawa.

MAJOR.

A któż ci mówi, że ja go chwale?
Ma on téż swoje i wielkie ale.
Jakiś płaczliwy, ciągle tęskniący,
I romansowy, i bolejący,
Żyje w obłokach, a nie na ziemi;
Wszystko to może być bardzo ładnie,
Lecz miękkie serce widzę w nim na dnie.
To kara Boska z temi młodemi!
Ni to do świata, ni to do ludzi,
Jeden rozczuła, a drugi nudzi,
Jeden łyzy leje, a drugi zięwa,
Ten melancholją, a ten spleenmięwa.
A ja jednemu jak i drugiemu
Wręcz powiem, że to nie po naszymu!
Za moich czasów było inaczej,
Gdy się kto kochał, do stu kartaczy!
To czasem szalał i dokazywał,
Ale nie płakał i nie poziewał.
A teraz młody, dostać chcąc żony,
Udaje że jest światem znudzony,
Albo znów ciągle jęczy i wdycha,
A to dlatego, że gdzieś w Londynie
Znudzony bogacz ze spleenu ginie,
I że to modne, — a cóż u licha!
Pókiż my będziemy innych małpować,
Cudze zwyczaję do nas stosować?
Ale cóż robić z młodzią upartą?
Długoby mówić, ale niewarto!

(wychodzi, trzasnąwszy z gniewem drzwiami).

SCENA PIĄTA.

CIOTKA I HANNA.

CIOTKA.

Papcio się nigdy przekonać nie da,
Na naszą młodzież bardzo zażarty,
A przytém trochę jeszcze uparty.
Bo cóż on może mieć do Alfreda?
Człowiek przystojny, młody, majątny,
I nie nudzący i nie natrętny;
A że się troszkę przejął Anglikiem,
To właśnie dobrze, to jest z tonikiem.
Dystyngowane jego maniery
Dowodzą, że on z wyższej jest sfery,
I każdy pozna po jego minie,
Że podróżował i był w Londynie.
Nieprawdaż Handziu, dobrzeby było
Iść za takiego pana Alfreda?
On ci tu gnuśnić w téj Polsce nieda,
Zwidzisz Europę i świat, aż miłol!
A gdy do naszej zajrząz Warszawy,
W karnawał, albo choćby i w lecie,
To się odżywisz; tam w wielkim świecie
Z dnia na dzień same uczyty, zabawy,
A jakie stroje, a jakie suknie,
Jacy panowie, a jakie panie!
Ręczę, na samo opowiadanie,
Żeby to widzieć serduszko puknie.
Nieprawdaż Handziu? powiedzno szczerze.

HANDZIA.

Nie moja ciociu.

CIOTKA.

Ejl ejl! nie wierzę.

Udajesz skromną, a pewno w myśli
Już ci się ładny obrazek kręśli,
I tysiąc miłych projektów snujesz,
Ale nie mówisz tego co czujesz.

HANNA.

O nie, doprawdy, i powiem cioci,
Żem niestworzona do tych łakoci,
I do błyszczenia na wielkim świecie.
Ja wzrosłam na wsi, jam wiejskie dziecię.
Oto naprzykład teraz w Warszawie,
Choć mi u cioci tak dobrze było,
Lecz byłam ciągle w jakiejś obawie,
Nieznaną trwogą serce mi biło;
Bo ten zgiełk miejski, ta ciągła wrzawa,
Jakaś boleścią, smutkiem napawa.
A gdym ujrzała sznur ekwipaży,
I uśmiech szczęścia w bogaczów twarzy,
To zaraz po tych tam wielkich panach,
Wpadał mi w oczy żebrak w łachmanach;
A u nas na wsi, choć mniej piędzdy
I mniej przepychu, mniej za to nędzy.
To téż kiedyśmy tutaj jechali,
I nasz dwór stary błysnął w oddali,
I wielkie lipy w naszym ogrodzie,
I Nepomucen, ot tam na wodzie,
I ta kaplica i krzyż nad drogą,
To nagle w duszy tak mi się błogo
I tak radośnie, tkliwo zrobiło,
Że aż mi serce mocniej zabiło.

CIOTKA.

A wiesz co Handziu, tak jesteś dziwną,
Tak sielankową i tak naiwną,
Że w sercu mojem rośnie obawa,
Czy ty nie kochasz pana Waclawa?
Czy cię zanadto on nie obchodzi?
Gustu dobrego to nie dowodzi:
To człowiek jakiś jest niepraktyczny,
I zamyślony, i wiecznie smętny,
I bolejący, melancholiczny,
A przytém nie jest bardzo majątny.
A nie wiesz nawet — o moje dziecię,
Jak piędzdz wiele znaczy na świecie!
Teraz to chyba nastał wiek złoty:
Niczem zasługi i niczem cnoty,
Jeśli im piędzdz nie doda blasku.
Waclaw naprzykład, choć pracowity,
Darmo się trzodzi, kręci bicz z piasku,
Nie będzie roli mieć znakomitęj
W téj strasznej dramie ziemskiego życia.
Do pracy przywykł już od powicia,
I choć to ładnie jest z jego strony,
Choć praca rodzaj zasługi czyni,
Będziez przyjemnie dla jego żony
U niego rolę grać gospodynii?
Tak, moja Handziu, więc się zastanów,
Lepiej z Alfredem wejść między panów,
Stanąc od razu na bogactw szczytce,
Niż na wsi zwykłe prowadzić życie;
Pomyślże Handziu, to rzecz nie płocha,
Trzeba rozważyć.

HANNA (do siebie).

Boże, mój Boże!

Niechaj on tylko mnie szczerze kocha,
I Twoja łaska mi dopomoże!

CIOTKA.

Moja Handziulka coś szepce z cicha,
Widać się waha, bo ciągle wdycha.
Lecz z mojej myśli znika obawa,
Pewnie zwycięży Alfred Waclawa,
Pewnie się spełni o czém już marzę,
Że ja powiodę was przed ołtarze,
I po podróży po zagranicy,
Wrócićcie błysnąć trochę w stolicy;
A dla mnie wdzięczność, radość i chwala,
Żem tak wybornie was poswatała.

(W głębi ukazuje się na ganku major z Waclawem, witają się i słychać rozmowę.)

MAJOR.

A witaj, witaj, gościu kochany!

WACLAW.

Panie majorze, staję wezwany,

MAJOR.

No, Bóg ci zapłać za twoje chęci,
Raczeż mnie zawsze mieć w swój pamięci.

Lecz masz tęgiego widzę kasztana,
I biało-nóżka, i to siadana!

WACLAW.

A dobry konik i bez narowu,
Tém droższy dla mnie, bo swego chowu.

MAJOR.

Widać z stadninki masz pan pociechę;
No wstapże proszę pod moje strzechę.

(wołając)

Hej, Wojtek! krzyknij na stajennego!
Podsypać garniec owsa gołego!

(Wchodzi na scenę; podczas poprzedniej rozmowy ciocia pretensjonalnie siada na kanapie i poprawia suknie i włosy; Hanna siada przy niej na krzeselku.)

SCENA SZÓSTA.

CIŻ, MAJOR I WACLAW (skromnie ale gustownie ubrani).

MAJOR (wchodząc).

No, macie gościa, moje jójmoście.

CIOTKA.

O! zawsze mili są tacy goście.
Niechże pan siada.

(wskazuje krzesło)

WACLAW (siadając).

Jakże pań zdrowie?

CIOTKA.

O! wczoraj miałam wielki ból w głowie,
Ale już przeszedł — dziś jestem lepiej.

WACLAW.

Pana majora nawet nie pytam,
Bo czerstwe zdrowie już z twarzy czytam.

MAJOR.

Ha cóż, krew stara jeszcze się krzepi.
Przyznam się panu, my ludzie starzy,
To zawsze zdrowie mamy na twarzy;
Bo gdy kto życie na koniu przeżył,
I Europę krokami zmierzył,
Komu służyła ziemia za łóżko,
A burka kołdrą, siodło poduszką,
Kto marzył od zimna, a piekło od żaru,
To nie dostanie łatwo kataru,
A nawet nie wie co to choroba.
Ot, macie przykład ze mnie, z Jakuba,
Czy którykolwiek kiedy choruje?
Nie — bo choroba takich morduje,
Którzy choć młodzi, silni i zdrowi,
Nie chcą się oprzeć jój napadowi.
Otóż to teraz młodzieży wada,
To téż jest wiecznie chora i blada,
I piękna teraz przyszłość kochanki:
Idzie do ślubu, by grać rumianki!

(słychać trzask bicia i turkot)

Toż z bicia pali, do stu kartaczy!
Któż to tu do nas zajeżdżać raczy?

(idzie do drzwi w głębi i patrzy)

Ho! ho! paradnie Alfred wystąpił,
I liberyi wcale nie skąpił,
Lokaj i stangret modnie ubrani;
Widać pan Alfred z służby się chlubi.

HANNA (półgłosem do Waclawa).

Wszak pan przyjechał konno?

WACLAW.

Tak pani.

HANNA.

To dobrze.

WACLAW.

Czemu?

HANNA.

Bo ojciec lubi.

(ukazuje się Alfred ubrany z angielską, z bakenbardami, szkiełko w oku, poruszenia niedbale, często poziewa.)

SCENA SIÓDMA.

CIŻ I ALFRED.

MAJOR (podając rękę).

Witamy pana.

ALFRED.

Panie majorze,

Pozwól, niech dzięki stokrotne złożę,
Że mogę przez twe miłe wezwanie,
Mym paniom złożyć uszanowanie.

(Wita się ze wszystkimi, podaje jeden palec prawej ręki Waclawowi, ścisnąc za rękę ciotkę, która go wita z przymlieniem; Hanna po obojętnym ukłonie oddala się do fortepianu, Waclaw jój towarzyszy.)

CIOTKA.

Witamy pana, — lecz pan z podróży
Musiałeś przywieźć zapasik duży
Różnych nowinek z naszej Warszawy?

ALFRED.

Wprawdzie jeździłem tam dla zabawy,
Lecz niepotrzebne były te trudy,
Bom tylko trafił na wielkie nudy.

CIOTKA.

Jakże? a świetne wyścigi konne?

ALFRED.

Ha cóż, puściłem na tor Junonę,
Śliczną Angielkę, folblut prawdziwą,
Jak sarna rączą, jak iskra żywą;
Lecz gdym zobaczył że widzów mało,
Coby się na mój tryumf patrzyło,
I gdy się przytęm nudzić zacząłem,
To i Junonę z szranków cofnąłem.

CIOTKA.

Więc się nie udał wyścig w tym roku?

ALFRED.

Jak się ma udać, gdy nie ma tłoku,
I kiedy każdy, zamiast być chętny
Do rass poprawy, jest obojętny;
Zamiast rozrzucić pieniądze, oblicza.
I co, że jeszcze weszło im w głowę,
Aby pojechać aż do Łowicza,
I tam wyścigi robić bryczkowe.
Jakieś tam widzą wysokie cele.
O! już co tego, to i za wiele!
Wyraźnie wszyscy idą ku zgubie.
To się nie robi ni w Jockey-klubie,
Ni w żadnym klubie na całym świecie.
Lecz mniejsza o to — róbcie co chcecie,
Ja wiem, że u was wytrzymać trudno,
Tak w tej Warszawie okropnie nudno.

MAJOR.

Za moich czasów, mój mości panie,
Inne od młodych słyszałeś zdanie.

ALFRED (do siebie).

Ot! dałem sobie — toż będzie gdérał!

MAJOR.

Młody różowo na świat spoziérał,
Gdzie się pokazał, wszystkich weselił,
Niejedno smętne rozchmurzył czoło,
Bo on się szczerze swém sercem dzielił,
Szczerze, serdecznie patrzył w około.
A teraz — teraz — do stu kartaczy!
I świat i ludzie, wszystko inaczej.
Ganisz wyścigi nasze bryczkowe,
A ja w nich widzę pojęcie zdrowe
Tego, co będzie dobrem dla kraju.
A te tam wasze, ot dla zwyczaju,
Modne wyścigi w letnie upały,
To wierzaj, że się na nic nie zdały.
Bo cóż mi z tego, że się zażarcie
Ścigasz, na jakimś angielskim charcie,
Co nawet nazwy konia nie godny,
Zwinny, bo chudy, lekki, bo głodny,
I że tam jakieś wyprawiasz skoki,
Gdy tak potrzebne tu bronowłoki
Coraz to gorzej nam wyglądają.
I niechaj sobie co chcą gadają,
Te tam wyścigi, co podług mody,
I z przeszkodami, i bez przeszkody,
Na poprawienie nie wpłyną rasy.

(po chwili)

O bodajże to dawniejsze czasy,
Kiedy na szczyty gór Samo-siera,
Młodzież się nasza w zapale wdiera.
Gdzie pieszo trudno, tam nasze chwaty
Konno, lancami biorą harmaty!
To mi wyścigi i z przeszkodami!
O takich czynach cóż gadać z wami?
Kiedy to teraz — do stu kartaczy!
Wszystko inaczej — całkiem inaczej.

ALFRED (na stronie ziewając).

A przecież skończył, bo też nad siły
Nudzi; — już mi się oczy kleiły:

WACŁAW

(który przy ostatnich słowach majora zbliżył się i słuchał z uwagą).

Najprzód przepraszam, panie majorze,
Że i ja moje zdanie otworzę,
Że stanę w młodzi naszej obronie,
W której i ja się policzam gronie.
Jeśli z pozoru zechcesz nas sądzić,
Strzeż się majorze, bo łatwo zbłądzić.
My z wierzchu niby na wszystko chłodni,
I od pokoleń dawnych odrodni;
Lecz głębiej szukaj, a znajdziesz serce,
A w niém uczucie tleje w iskierce,
Którą gdy silniej kiedy rozdmucha
Wiatr namiętności młodego ducha, —

MAJOR (przerzywa).

Tere i fere — panie Wacławie,
Zawsze coś mówisz górnice i ławie,

A mnie to tylko jasno dowodzi,
Żeście wy baby, wy wszyscy młodzi!
Mówisz bo ładnie, lecz się zastanów:
Słowo uleci — czyn ślad zostawi.

SŁUŻĄCY (wychodzi z serwetą).

Dano do stołu.

MAJOR.

No, proszę panów,
Na gospodarza bądźcie łaskawi.

(Alfred podaje rękę ciotce, Wacław Hannie, major idzie za nimi, zastona spada.)

KONIEC AKTU PIÉRSZEGO.

(Dokończenie nastąpi).

Od bezimiennego autora uwag nad dziełem Michelet'a p. n. *L'amour*, odebraliśmy następującą odezwę.

Szanowny Redaktorze!

Ponieważ autor czy autorka artykułu o dziele Michelet'a p. t. *L'amour*, nie należy do świata literackiego, ponieważ nieznanego nazwisko, czy ono będzie miało zakończenie męskie czy żeńskie, wartości artykułu nie podwyższy, a piszącemu czy piszącej zależy na tém, aby utrzymać nadal swoje skromne *incognito*, nie mogę więc zaspokoić ciekawości pani Z. K., i proszę ją uprzejmie, aby mi to dziwactwo łaskawie raczyła wybaczyć.

Nastęrcza się tu ogólna uwaga, iż autorowie, po przebieraniu w potworne pseudonimy, i odgadująca je publiczność, zakrawają na maskaradę małego miasteczka, gdzie się wszyscy znać muszą, i gdzie jedni drugich gwałtem demaskują. Na co ta maskarada w literaturze? czyż nie właściwsze proste zamilczenie nazwiska, (do czego piszący mieć może swoje osobiste powody), niż takie publiczne intrygowanie publicznej ciekawości? A że ciekawość publiczna ma po części swoją zasadę i zasługuje na uwzględnienie, temu bynajmniej nie zaprzeczamy.

Oto doszliśmy do tego stopnia niewiary w słowa, że nie dosyć nam słyszeć człowieka mówiącego czasem bardzo piękne i pożyteczne rzeczy, ale potrzeba nam jeszcze wiedzieć, czy życie jego harmonizuje ze słowem, czy on sam to czyni, czego od drugich wymaga i czy nie ma hypokryzji w tém literackim szermowaniu wyrazami.

Ta niewiara nasza, niestety! to fakt spełniony; zbyt często bywaliśmy oszukiwani, i nie nasza w tém wina.

Dlaczego moralistyka nasza gadana i pisana żadnego prawie nie wywiera wpływu? Dlaczego tylu wołających i słuchających, bez widocznych skutków tego wołania i słuchania?... Oto, że każdy mierzy wartość słowa, powagą życia, a potem pyta sam siebie: „Czy prawda mogła wyjść z ust takich?“ Jeżeli pijany prawi o trzeźwości, egoista o poświęceniu, pyszny o pokorze, próżniak o pracy, oszust o prawości, jakież, pytam, pożytek z téj nauki dla ludzi, którzy nietylko słuchają ale i patrzą?

Aby uczyć drugich, trzeba samemu coś umieć, aby moralizować skutecznie, trzeba mieć wartość moralną, powagę życia i nieskalaną przeszłość. Jeżeli tego brakuje, wołanie nasze będzie zawsze głosem wołającego na puszczy. Trudna rada! ale już dziś nikt nie wypożyczy wiary słowa, nikt nie uwierzy że zrobić można to, czego nikt zrobić nie chce; aby uwierzyć w zasadę, potrzeba przykładu.

Czegóż nam dziś potrzeba, na czém nam zbywa we wszystkich przedsiębiorstwach, nietylko handlowych i przemysłowych, lecz i w innych *równie ważnych, równie naglących*, a moralną stronę człowieka mających na względzie? Czy nie na owęj powadze życia, wspartej sympatją i uznaniem opinii? Zdolności wrodzone, wiadomości specjalne, talent, choćby najświetniejszy, i sama nawet przeznacna nauka, zdobyć mogą pochwały, oklaski, namiętne lecz chwilowe uwielbienie, ale wiarę w szczerłość i skuteczność słowa życiem się tylko zdobywa.

Wielkiem tedy zadaniem obecnej chwili, jest stworzyć nie systemy, ale *ludzi* zdolnych do przeprowadzenia zdrowej myśli w życie praktyczne. Aby stworzyć takich ludzi, nietylko moralizować, ile czynem i przykładem uczyć należy. Jeżeli od drugich wymagamy pracy, pracujmyż jak gdybyśmy tu wieki żyć mieli; wymagamy poświęcenia, bądźmyż gotowi do każdej dla dobra powszechnego ofiary, jak gdyby dzień dzisiejszy był dla nas ostatnim dniem życia; wymagamy prawości, rozsądku, zgody, szlachetności, bezinteresowności i dobrych obyczajów, bądźmyż przedewszystkiemi sami uczciwi, rozsądni, zgodni, mo-

ralni, szlachetni i bezinteresowni. Z tych wszystkich czynników urabia się osobista zacność, a z niej wywiązuje się moralny wpływ na stosunki towarzyskie.

Wracając do pierwszego ustępu niniejszej korespondencji, dodać mi wypada, iż ta chęć demaskowania zakapturzonych autorów ma swoją dobrą stronę, o ile nie jest bezcelową, płochą ciekawością, ale potrzebą oparcia wiary swojej na osobistej powadze piszącego. Uwzględniamy ją własnym przekonaniem jaknajzupełniej. Zresztą, indywidualnie i zbiorowo, sądźmy się, aby nas nie sądzono; gańmy się, aby nas nie ganiono; mało się chwalcmy i niewiele się cieszymy, bo w tém optymicznym usposobieniu łatwo się usypia i zapomina o celu rozpoczętej pracy.

Jeżeli nam czas i zdrowie pozwoli, postaramy się o przeczytanie nowej książki Michelet'a pod tytułem *La femme* i uwag naszych o niej przesłać Tygodnikowi nie omieszkamy.

OD REDAKCYI.

Półroczne blisko istnienie Tygodnika Ilustrowanego wykazało już publiczności dążność i zasady tego pisma. Być może iż dotąd, pomimo najlepszych chęci i usilnych starań, tak redakcyi jako i wydawcy, nie potrafiło ono jeszcze odpowiedzieć wszystkim wymaganiom czytelników; liczne jednakże trudności, z jakimi łamać się przychodziło w tém nowém zupełnie u nas wydawnictwie, powinny w tym względzie posłużyć za usprawiedliwienie.

Redakcyja starać się będzie i nadal doboorem i rozmaitością artykułów, oraz wzmocnieniem sił drzeworytniczych, odpowiedzieć na doznane ze strony publiczności współczucie; wydawca zaś dołączaniem dodatku, niezapowiedzianego prospektem, pragnie dowieść, iż w miarę zwiększania się liczby prenumeratorów, zaprowadzać zamierza coraz nowe w Tygodniku ulepszenia.

Obok artykułów treści poważnej, zamieszczać będziemy: poezye, powieści, korespondencye z różnych stron kraju, niekiedy zaś artykuły i rysunki humorystyczne, oraz sceny ludowe i typy z przeszłości naszej czerpane.

Cena Tygodnika wynosi w Warszawie:

rocznie	8 rsr. — kop.
półrocznie	4 „ — „
kwartalnie	2 „ — „
miejsięcznie	— „ 67½ „

Na prowincyi i w cesarstwie:

rocznie	12 rsr.
półrocznie	6 „
kwartalnie	3 „

Prenumeratorowie z cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płacą *kopertowe* od każdego egzemplarza rs. 2 rocznie.

Szanowni prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześniej na stacyach pocztowych, od tego bowiem zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów z kwartału następnego.

Zażalenia z powodu spóźnionego albo w złym stanie odbioru Tygodnika, nadsyłane pod adresem redakcyi, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 391, załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.

W końcu ponawiamy raz jeszcze uczynione już kilkakrotnie wezwanie do życzliwych wydawnictwu naszemu rodaków, ażeby przysyłać nam racyli opisy i rysunki lub fotografie ciekawych miejscowości, pamiątek historycznych, dzieł sztuki, scen z życia ludowego, oraz wypadków bieżących w różnych okolicach kraju, jakimi są naprzykład: poświęcenia pomników, zakładów dobroczynnych lub przemysłowych, uroczystości religijne i rolnicze, zebrania obywatelskie w celach publicznych i t. p., za które wydawca, na żądanie nadsyłających, gotów jest udzielać stosowne honoraria.

Zarazem redakcyja Tygodnika Ilustrowanego przypomina, iż przyjmuje przedpłatę na dzieło Karola Szajnochy p. n. *Jadwiga i Jagiello*, po cenie rs. 6 za cztery tomy na papierze piękniejszym, które wydawca obowiązuje się wszystkim prenumeratorom swego pisma przysyłać własnym kosztem.

DONIESIENIA.

KSIEGARNIA

G. Gebethnera i spółki,

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Ner 415 w pałacu JW. hr. Stanisława Potockiego,

otrzymała następujące nowości literackie:

Boska komedia Danta Alighieri, tłumaczenie Juliana Korsaka poprzedzone przedmową czyli wstępem, objaśnione komentarzem, według p. Biagioli Streckfussa, wydanie na papierze welinowym z 16 rycinami rs. 6 kop. 30, na papierze zwyczajnym rs. 3 kop. 60.—*Zywoty prymasów Korony polskiej* i W. Ks. Litewskiego, 5 tomów rs. 6.—*Natura wilka wyciąga z lasu*, monodramat wierszem, z dodaniem garstki nowych poezji Władysława Syrokomli, rs. 1.—*Wyrok Jana Kaźmirza*, dramat historyczny w 4ch aktach, przez Władysława Syrokomlę, kop. 75. *Wycieczki po Litwie*, w promieniach od Wilna do Oszmiany, do Kiernowa, do Kowna, przez Władysława Syrokomlę, tomów 2, rs. 1 kop. 20.—*Gimnastyka domowa*, dla użytku dzieci i dojrzalszych osób: według najnowszych autorów francuzkich i niemieckich ułożona, w dwóch częściach. 1) Ćwiczenia pokojowe z hantlami, 2) Ćwiczenia pokojowe bez przyrządów, ułożył J. B. Wagner, rs. 1.—*Powieści z podań i dziejów polskich*, przez Antoniego Wieniarskiego, dwa tomy rs. 1 kop. 50.—*O historykach polskich szesnastego wieku*. Część druga o życiu i pismach Joachima Bielskiego, napisał W. Nehring, kop. 50.—*Rozprawa* wyświecająca historią zaprowadzenia kanonikatu doktora medycyny, przy wszystkich kościołach katedralnych polskich w ogólności, w szczególności zaś o zaprowadzeniu tegoż kanonikatu, przy katedrze Gnieźnieńskiej i Poznańskiej, napisana przez Dra Lud. Gąsiorowskiego, rs. 1 k. 50.

KSIEGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

Michała Glücksberga

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście

Nr. 9 (411),

otrzymała na skład główny dziełko p. n.

ZIARNA I PLEWY,

pisma wierszem oryginalne i tłumaczone przez Władysława Sabowskiego. Cena egzemplarza rs. 1. Nabyć można w znaczniejszych księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Wyszedł z druku Zeszyt 39ty **BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ** na miesiąc Marzec 1860, i zawiera: *Król Ryszard II*, dramat W. Szekspira, akt pierwszy, przekład J. Korzeniowskiego.—*Kobieta*, studjum historyczno-obyyczajowe, przez *Zygmunta Raczkowskiego*.—*Literatura włoska*. Rzut oka na obecne piśmiennictwo. III Tomasso Grossi. Apoteoza mierności. Śmierć bohaterki! Berchet. Carrer. Włoska fantastyczność. Niebo za jasne i słońce za świetne... dla duchów, ale nie kochanków. Wesoły Romani, i smutny Dall. Ongaro. Parnas krynolin. Szkoda papieru, pióra... i czytelników; przez *W. M.*—*O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskim*, przez *Władysława Taczanowskiego*.—*Literatura francuzka*. La Légende des Siècles par *Victor Hugo*.—*Powieściopisarze w Galicji*.—*Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna*. Les grands peintres avant Raphael, nowa publikacja *Wiktora Didron*. Macaulay i jego dzieła. Madame Swetchine, sa vie et ses oeuvres, przez hr. Falloux. Kandydatura Lacordaira. Les grandes usines de France przez *J. Turgan*. Wiadomości literackie.—**KRONIKA LITERACKA** Dzieje Mazowsza za panowania książąt, przez *F. Kozłowskiego*, m. n. p. b. prof. gimn. gubern. warsz. Mazowszaina. Warszawa, 1859, przez *Juljana Bartoszewicza*. Metoda czytania poczynająca się od pisania, czyli metoda Graseira, przez *Albina Köhna*. Poezye Antoniego Edwarda Odyńca, wydanie nowe, poprawne i pomnożone, Wilno, 1859, przez *Kaźmirza Kaszewskiego*.—**ROZMAITOŚCI**. Mennica Łobżeńska, przez *Józefa Przyborowskiego*.—**WIADOMOŚCI Z NAUK**. Chemik. Rozmowy John Humphry Davy przełożył *L. Zejsner*. Próby chemiczne wody pochodzącej ze studni w posesyi p. Temlera, pod Powązkowskiemi rogatkami, przez *T. L.*—**KORRESPONDENCYE**. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, o komedjach konkursowych od K. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od Prezydenta Cesarско-Królewskiej Warszawskiej Medyko-Chirurgicznej Akademii. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Sprawozdanie z czynności wydawnictwa dzieł Długosza od *Józefa Lepkowskiego*.—**KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA**.—**Wiadomości literackie**—**Dostrzeżenia meteorologiczne** za m. styczeń r. b.

PROSPEKT

DZIEŁA

Nakładem J. Ungra w Warszawie wyjść mającego

POD TYTUŁEM

WYKŁAD PISMA ŚWIĘTEGO

NOWEGO ZAKONU,

A MIANOWICIE

WYKŁAD CZTERECH EWANGELIJ I DZIEJÓW APOSTOLSKICH

PRZEZ

KSIĘDZA WALERYANA SERWATOWSKIEGO,

byłego profesora Teologii w Tarnowie.

Najważniejszym zaiste w dziejach rodu ludzkiego i największej godnym uwagi zdarzeniem, jest życie Zbawiciela Świata Jezusa Chrystusa, i pierwsze początki utworzenia kościoła Jego. Któryż oświecony chrześcijanin nie pragnie z samego źródła zaczerpnąć wiedzę o życiu, naukach, cudach, o śmierci ofiarnej, o zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu, tego najdroższego naszego Pana, którego widzialna bytność na ziemi, nie tylko stała się wzorem prawdziwego postępu w udoskonaleniu ducha, dla każdego w szczególności człowieka, ale oraz już przez to samo wywarła tak niezmierny a widoczny wpływ na całe ludzkie plemię, iż z nim nie innego na ziemi w porównanie iść nie może. Przeto nie sami tylko duchowni, ale oraz i świeccy, głębszej religijnej szukający oświaty, i jak najsilniejszego w wierze przekonania powszechnie objawiali życzenie, mieć w ojczyństwie języku *Wykład Pisma Świętego*, któryby im ułatwił czytanie i zrozumienie onegoż. Widząc tedy tak wielką tego potrzebę i duchowny pożytek, a zupełny brak takiego dzieła w polskim języku, podjął się ksiądz W. Serwatowski tej pracy, i przy łasce Bożej do skutku ją doprowadził, gdyż najważniejsza jej część, to jest wykład całego Prawa Nowego Zakonu, została już wydana, a powtórne wydanie *Wykładu Czterech Ewangelij i Dziejów Apostolskich* okazało się potrzebne, które też J. Unger obecnie skutecznie zamierza. W tym wykładzie, nie będącym tłumaczeniem, ale oryginalną pracą, usiłował autor mową zwięzłą i popularną, nie tylko rozgmatwać wszelkie zawilosci, bądź ze wschodniego sposobu mówienia i pisania, bądź z ówczesnych mniej nam znanych zwyczajów i stosunków towarzyskich wynikające, ale oraz objaśniać i udowadniać zasady wiary świętej, i wznosić ducha czytelnika do Boga, i do zamilowania świętej chrześcijańskiej doskonałości. Że to dzieło odpowiada swemu zamiarowi, chlubne aprobaty *JJ. WW. Ksks. Biskupów w Galicji* poświadczają. Chcąc usłużyć polskiej publiczności nakładem tego dzieła, zamierzam wydać je poprawnie i ozdobić w czterech tomach, mając nadzieję, iż liczni nabywcy poszukiwaną i pożyteczną pracę, postawią mi w możności zajęcia się później powtórnym wydaniem Listów apostolskich i prac badawczych Ks. Serwatowskiego, w wykładzie Ksiąg Świętych Starego Przymierza.

WYKŁAD PISMA Ś. z czterech tomów in 8vo składający się, wyjdzie: Tom Iszy w dniu 1szym Kwietnia r. b., tomy następne co 20 dni punktualnie wychodzić będą. Prenumerata na Rs. 6 oznaczona, składaną być może w drukarni wydawcy i w księgarniach; przy tomie 1szym Rs. 3, a przy każdym następnym po 1 Rs. Po wyjściu ostatniego tomu, cena ustanawia się na Rs. 7 kop. 50.

Warszawa dnia 9 Marca 1860 r.

J. Unger.

Z Drukarni i nakładem wydawcy Tygodnika Ilustrowanego wyszły:

NAUKI PARAFIALNE DOGMATYCZNE
DLA LUDU WIEJSKIEGO

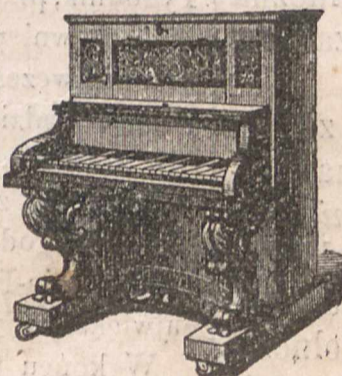
przez

X. Waleryana Serwatowskiego

profesora teologii napisane. Dzieło to dla użytku XX. proboszczów i plebanów przeznaczone od autora, wydawca odbił drukiem czystym i czytelnym i tak ułożył, aby w miarę potrzeby uczenia się na pamięć lub studyowa-

nia, każda z nauk mogła być oddzielną od innych, to jest od poprzedzającej i następującej po niej nauki. Sprzedaje się u Wydawcy oraz w księgarniach Warszawskich i na prowincyi po rs. 1 kop. 50.

Nakładem Sztucharni nut muzycznych A. Peet et Comp. ulica Miodowa Nro 482 (4), wyszła w tych dniach *Polka na fortepian* pod tytułem: „La belle Brunette“ ofiarowana Wój Pannie Franciszce Masłowskiej, przez Józefa Sosnkowskiego. Cena złp. 1 (kop. 15). Sprzedaje się we wszystkich księgarniach i Składach nut muzycznych w Warszawie.



KSIEGARNIA

Skład nut muzycznych

I MATERIAŁÓW PIŚMIENNYCH

HENRYKA HURTIG

W KALISZU,

poleca się szanownej publiczności wyborem najnowszych dzieł literatury polskiej, francuzkiej i niemieckiej, książek dziecinnych ilustrowanych i szkolnych, przyjmuje przedpłatę na wszystkie pisma peryodyczne w kraju i zagranicą wychodzące; utrzymuje również

SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

z najcelniejszych fabryk krajowych i zagranicznych, po cenach umiarkowanych; przyjmuje wszelkie zamiany i obstalunki na fortepiany, pianina, organy, melodikony, orchestrione i t. d., po cenach stałych fabrycznych.

W Głównym Składzie Farb i Lakierów

J. A. KRAUSSE

przy ulicy Miodowej Nr. 484 wprost Rządu Gubernialnego

jest do sprzedania po bardzo umiarkowanej cenie

200

Centnarów nasienia białych Buraków
prawdziwych **Quedlinburskich**

z ostatniego zbioru w najlepszym gatunku, oraz świeże nasiona pastewne **RAJGRAS, KONICZYNA CZERWONA i TRAWA TYMOTUSZA.**

Stosując się do powszechnego, niejednokrotnie objawianego życzenia Szanownych Gości,

RESTAURACYA

HOTELU EUROPEJSKIEGO

ma zaszczyt zawiadomić szanowną publiczność, że z dniem pierwszym kwietnia r. b., godziny obiadu wspólnego (table d'hôte) zmienione zostaną w następujący sposób:

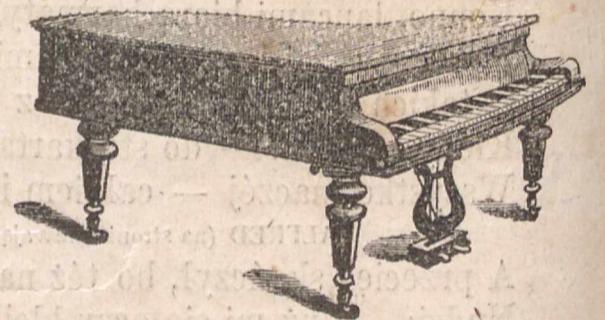
obiad I rozpoczynać się będzie o godz. 3ej.
obiad II o godzinie 5ej.
Spóźniającym się obiad nie może być podany. Za obiad I płaci się złp. 4, za obiad II złp. 6 gr. 20.

Abonament złożony z 30tu biletów kosztuje:
Na obiad I złp. 100.
Na „ II złp. 166 gr. 20.
Za obiad wspólny podany w oddzielnym gabinecie płaci się od osoby:
Za obiad I złp. 6 gr. 20.
Za „ II złp. 10.

Osoba mogąca się podjąć za umiarkowane wynagrodzenie poprawy rękopismów w języku rossyjskim pod względem grammatycznym i stylowym, raczy nadesłać adres do kantoru drukarni J. Ungra, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Ner 391 w domu pp. Wizytek.

Ktoby życzył udzielać lekcye języka francuzkiego i konwersacyi osobie posiadającej znaczne początki, raczy nadesłać adres do drukarni J. Ungra. Pożądane by było, ażeby lekcye mogły się odbywać w mieszkaniu osoby udzielającej takowe, położonem o ile możności najbliżej Saskiego placu.

Wydawca dzieła p. n. **KOŚCIOŁY WARSZAWSKIE** pod względem historycznym opisanie przez *Juljana Bartoszewicza* z drzeworytami kościołów i celniejszych w nich nagrobków, wykonanemi przez *Michała Starkmana*, zniżył cenę tego dzieła z rs. 6 na rs. 2, o czem donosząc, ma nadzieję, że tak znacznym obniżeniem ceny, poda sposobność licznym nabywcom do zaopatrzenia się w tę ważną i ciekawą publikacyę.



Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.